№ 44 Warszawa, dnia 23 Października (4 Listopada) 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Studya historyczne. — Moja piosnka (wiersz).—Z opowiadania rezydenta (powieść) (dalszy ciąg).—Sługa Porpory. — Do Algieru przez Hiszpanię i Maroko (dalszy ciąg). -- Z kraju i z zagranicy.—Zawiadomienia. W Dodatku: Walki życia. Przemysłowiec. Przez Jerzego Ohnet. Przekład z francuzkiego (dalszy ciąg).

STUDYA HISTORYCZNE.

Młody profesor wszechnicy Jagiellońskiej Dr Stanisław Smolka, który tak świetnie rozpoczął swoją działalność „Mieszkiem starym", wydał teraz nową książkę zatytułowaną „Szkicami historycznemi".

Od czasu Karola Szajnochy, który swemi pracami bardzo wzbogacił naszą historyczną literaturę, a tem samem dał do ręki ogółowi poważną książkę, zaczęły się pojawiać serye szkiców mniej lub więcej wartościowych.

Do tych rozrzuconych cegiełek dołożył dziś i profesor Smolka nową, starając się przedewszystkiem o to, aby na świetnem tle historycznem utworzyć prawdziwie piękny i artystyczny obraz, gdzieby przy jaskrawych kolorach, przy najwięcej interesujących zdarzeniach, można było wyjaśnić jeszcze najważniejsze punkta i kwestye naszych dziejów.

To też każdy szkic, obok nader przystępnej formy, obok niewypowiedzianie zręcznego przedstawienia rzeczy, u pr. Smolki porusza jedną z najważniejszych kwestyi, którą z nieograniczonym talentem rozwija na tle swego wieku. Pierwszy ze szkiców w tej książce „Niepoprawny ród" ma wykazać genezę polskiego społeczeństwa.

Dawno bardzo zaczęto interesować się tą kwestyą; Lelewel, wreszcie Szajnocha w części obalili podanie o Lechu, Czechu i Rusie, a Słowacki Juljusz w swoim „Królu-Duchu" postawił nową hipotezę, którą dziś pr. Bobrzyński w swoim „Zarysie historyi polskiej" poruszył; książka ta wywołała ogromną wrzawę w naszej prasie, a rzecz o początku Polski stała się przyczyną poważniejszych studyi. Ztąd powstały na raz trzy rozprawy, gdzie pr. Smolka przychylił się w części do mniemań pr. Bobrzyńskiego, utrzymując iż istnienie swoje Polska może zawdzięczać jedynie silnej władzy potężnych władzców, jakimi byli Bolesław Chrobry, Bolesław Śmiały a w części Bolesław Krzywousty i Mieszek stary, żaś pan Franciszek Piekosiński przypisuje powstanie Polski najazdom Lechii wschodniej nad Wartą i Odrą przez Lechitów zachodnich z nad Łaby. Akademia Umiejętności w Krakowie tym rozprawom wyznaczyła miejsce w XIV tomie „Rozpraw i sprawozdań z posiedzeń wydziału filologiczno-historycznego" a resztę zostawiła krytyce, która wobec tak postawionej kwestyi wiele ma jeszcze do zrobienia. Rozprawy te jednak przyczyniły się wiele do początków naszej historyi, rozstrzygając wiele wątpliwości tyczących się Lachów normandzkich, Bohów, Wenedów, Herulów, Swewów, Lezgów, Irako, Illyrów, Daków, samych nawet Keltów, a teraz świeżo przybywają nam jeszcze Lechyci z nad Łaby, władzcy z nad Gopła, Warty i Wisły.

Postawiwszy tak kwestye, pr. Smolka uważa za stosowne szukać przykładów do wyjaśnienia stosunków pierwotnej Polski u pobratymczych narodów a ten, który nam tu podaje, jest osnuty na tle historyi narodu czeskiego.

Czechów wraz z Morawianami policzyć można, do tych szczepów słowiańskich, które najsampierw wystąpiły w obronie nietylko własnych interesów, ale nawet całej Słowiańszczyzny.

Dobre więc dla wyjaśnienia początków Polski, wybrał sobie źródło pr. Smolka; jeżeli gdzie to u Czechów możemy szukać czynników, które nam rozjaśniają naszą przeszłość i wskazują tę długą drogę naszego politycznego i społecznego życia. To więc co opowiada pr. Smolka jest zaczerpnięte z dziejopisu Kosmosa Pragskiego. Całość przedstawia nam bardzo charakterystyczną scenę.

Oto jeden z możnych Przemysławiców, kniazi czeskich Oldrzych, którzy od dawna zasiedli na stolicy książęcej, zmarł. Ów straszny tyran, któremu nikt nie śmiał stawić oporu, dziś jest bezwładnym, a u trumny jego, przejęci zgrozą i żalem znajdują się ci wszyscy, którzy pewnie wczoraj z pod groźnej ręki, żywcemby nie uszli. Za rządów zmarłego Oldrzycha niejeden krwią swą okupił grymas i wolę despoty, a nie uszedł jego gniewu nikt, jak nikt nie uzyskał przebaczenia, czego najlepszym dowodem brat książęcy Jaromir, którego Oldrzych kazał oślepić i do więzienia wrzucić. Dziś ze śmiercią brata stary znękany głodem i ślepotą Jaromir, odzyskał wolność, dziś odetchnął na nowo świeżem powietrzem, ale nie mógł odzyskać tego czem przed ćwiercią wieku władał. Wzrok jego zginął na zawsze. Nic więc dziwnego, że lud z obawą spoglądał w przyszłość, tembardziej, iż nie wiedział kto obejmie tron po zmarłym księciu, czy znękany więzieniem i przygnieciony ciemnotą starzec, czy młody groźny syn zmarłego Brzetysław.

Ale stary Jaromir aż nadto rozumiał swoje położenie, rozumiał dobrze i złamaną swoją potęgę i dawną sprężystość, której dziś jako monarcha nie potrafiłby bez wzroku dzierżyć i dlatego wobec zgromadzenia ogłosił następcą Brzetysława.

Doświadczony wiekiem i trzeźwo patrzący Jaromir, przy uroczystym tym akcie napomniał raz jeszcze młodego księcia Brzetysława, aby się strzegł tylko dłoni mściwej Werszowców, bo to są złych ojców niegodziwi synowie, wrogowie odwieczni rodu Przemysławicow.

Cóż to za jedni ci Werszowce?

Oddawna w Czechach, jak i w innych ziemiach słowiańskich a nawet i nie słowiańskich, mnóstwo panów udzielnych tworzyło niezliczoną liczbę dro-

bnych księstw, jako władycy samodzielni. Wobec coroz groźniejszych napadów potrzeba zmusiła ich do ściślejszej łączności, z czego nie omieszkali korzystać silniejsi, przywłaszczając sobie władzę nad innymi książętami, a raczej możnymi rodami. Do takich uzurpatorów można było zaliczyć i ród Przemysławiców, który dziś stanął już jako silna i niezwyciężona dynastya w Czechach.

Nie wszystkie jednak domy ukorzyły się przed ich władzą; były i takie co hardo stawiały swe czoło, a najwięcej i najdłużej opierali się temu Werszowce, których święty Wojciech wyklął i trzykrotną rzeź ich za zbrodnie przepowiedział! Już też po dwakroć spełniła się nad nimi pomsta Boża, a oni nieustannie pracują, żeby sobie po raz trzeci na nią zasłużyć.

Ci to Werszowce coraz to nowe zbrodnie knuli przeciwko Przemysławicom, a kiedy do otwartego boju brakło im sił i energii, wtedy chwytali się daleko mniej omylnej broni a mianowicie intryg, któremi waśnili cały ród panujący. Przez te waśnie i przez te intrygi dostał się i Jaromir do więzienia i okupił je własnym wzrokiem, a dziś po wypowiedzeniu tej prawdy Werszowcom, zasłużył sobie na nieomylną śmierć, którą też z ręki jakiegoś zbrodniarza poniósł. Tak szło coraz dalej.

Werszowce intrygowali i waśnili braci Przemysławiców, a kiedy to im się nie udało, wtedy szukali pomocy u drugich obcych a powaśnionych z Przemysławicami, którzy licząc na siły i przebiegłość Werszowców, tem rychlej swej pomocy udzielali.

Tak intrygując Werszowcy zrucali jednego, a osadzali na tronie innego, który musiał być im za to przychylny, drugi zaś rwał dawne przymierze i niejednokrotnie wbrew interesom państwa, szukał poparcia u obcych i groźnych nieprzyjaciół, nie szczędząc ani żądanych warunków, ani drogocennych ofiar, wyzyskiwanych w takich chwilach bez litości. Tak działo się w Czechach ciągle, i znów jeden Przemysławic postradał tron, tułał się za granicą, słaniał się do nóg cesarzowi by go przemocą Czechom na pana narzucił, a więc i nowemu księciu Świętopełkowi ciężkie gotował kłopoty.

Udało się wreszcie Świętopełkowi odwrócić to niebezpieczeństwo choć po trudnej przeprawie, wśród której Przemysławic dostał się do cesarskiego więzienia. Skoro zaś ubezpieczył swe panowanie, nie dziw, że Werszawce najwięcej u niego znaczyli, bo im to przecież tron zawdzięczał i znów Mutyna (Werszowiec) był pierwszym dostojnikiem w państwie.

(D. c. n.)

Moja piosnka.

Drżą już struny mojej lutni,
Już się znowu piosnka rodzi,
Wzrasta, leci i uchodzi,
Coraz rzewniej, coraz smutniej.

Z wiatru falą mknie powiewną,
Po nad góry, lasy, skały,
Snów i marzeń ideały,
Leci rzewną, smętną, śpiewną.

Myśl na błonia wnet pomyka,
Na motylich skrzydłach lata,
Wianek z wonnych kwiatków splata,
Z nim ucieka i z nim znika.

Muśnie wody toń błyszczącą,
Pocałunkiem dotknie chmury,
Leci znowu het do góry,
Lub nad gwiazdką duma drżącą.

Błędne ognie goni w lesie,
Śpiące budzi gdzieś paprocie,
Kąpie piórka w słońca złocie,
I nadzieję jakąś niesie.

Z listkiem bluszczu na ruinie,
Z kolcem cierni na czerepie.
Igra to znów błądzi w stepie,
I w tym życia stepie ginie.

I tak mimo burz chaosy,
Myśl szeroki świat obleci,
Świeci, gaśnie i znów świeci,
Łzą mych oczów, kroplą rosy.

Ale jeśli polot zwraca,
W serce, w którem coraz smutniej,
Rwą się wtedy struny lutni,
Ach i piosnka nie powraca!

Janusz Bończa.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Panna Lalka patrzała na niego bystro czarnemi oczyma i słuchając słów jego uśmiechnęła się uśmiechem rozkosznym, który przecież w kącikach jej ponętnych, purpurowych ustek, drgał jakoś szyderczo i wzgardliwie.

— Czy możesz mi pan dać na to słowo? — zapytała go słodkim, łagodnym głosem.

— Mogę, pani — odparł Skrzyński z przekonaniem najgłębszem w głosie i spojrzeniu.

— Słowo człowieka uczciwego? — powtórzyła dziewczyna wysuwając zwolna ręce z jego dłoni.

— Słowo człowieka uczciwego!

Panna Lalka parsknęła na raz głośnym, szyderczym śmiechem.

— Idź pan precz! — rzekła zapalając najspokojniej jedenastą zapałkę, od której nareszcie zajął się papieros — idź pan precz i nie pokazuj się tu więcej, mówię to w imieniu mojem i Kseni.

Trzeba było widzieć w tej chwili Eugeniusza, aby mieć pojęcie, jak śmiesznie-dramatyczną przybrał postać. Zerwał się nagle ze wschodów, zarumienił gwałtownie aż po czoło i przez chwilę wymowny artysta zapomniał najzupełniej, jak to mówią, języka w ustach.

— Ależ... ależ... ja... ja... pani mnie nie rozumiesz... począł jąkać jakieś tłomaczenie.

Patrzałem ze wzgardą i żalem na człowieka, którego moja szlachetna Ukrainka ukochała tak mocno, jak nieszczęśliwie śmiesznie wyglądał w roli strąconego z piedestału bohatera i jak się kręcił niespokojnie pod szyderskiem spojrzeniem panny Lalki. Paryżanka nie spuszczając z niego oczu, zabijała go prawie spojrzeniem i śmiejąc się drwiąco, nie pozwalała mu przyjść do słowa, nie dopuszczając tłomaczeń żadnych.

— Idź pan precz!—powtórzyła puszczając lekki obłoczek dymu z różowych ustek, kiedy Skrzyński zaczął mówić pierwsze zająkliwe słowa tłomaczenia.

Młody człowiek stał przed nią chwilę ze spuszczonemi oczyma, potem nagle chwycił kapelusz leżący na wschodach i szybkim krokiem oddalił się kasztanową aleją w stronę stajen, gdzie stały konie jego i powóz.

Miałem właśnie ochotę udać się za nim i dodać mu jeszcze kazanie z mej strony, do nauczki odebranej z ust panny Lalki, gdy posłyszałem za sobą szmer lekki i obejrzawszy się ujrzałem tuż obok siebie stojącą Ksenię. Miała na sobie amazonkę i szpicrutę w ręku i była bladą jak marmur. Jedno na nią spojrzenie przekonało mnie, że musiała stać tu już chwilę długą i wysłuchała wszystkiego. Kiedy spojrzałem w jej lice, zląkłem się prawie tej martwej, kredowo białej twarzy i wytężonego spojrzenia oczu, które płonące jak pochodnie, szeroko otwarte, ścigały nieprzytomne i straszne, uchodzącego Eugeniusza.

Stałem obok niej długą chwilę, patrząc z niepokojem śmiertelnym w jej ściągnięte bólem, zmienione do niepoznania rysy, które przez cały czas ten nie zadrgnęły ani razu.

— Panno Kseniu — rzekłem łagodnie, pragnąc powrócić ją do przytomności.

Nie odpowiedziała mi wcale. Ująłem jej rękę, zdawało się, że nie czuła wcale tego. Stała jak przykuta na miejscu i dopiero kiedy postać Skrzyńskiego zniknęła na końcu ciemnej kasztanowej alei, poruszyła się, spojrzała dokoła błędnemi oczyma i postąpiwszy kilka kroków w głąb' pokoju, zachwiała się tak mocno, że podbiegłszy musiałem ją podtrzymać, lękając się aby nie upadła. Słabość ta trwała przecież tylko jedno oka mgnienie i skoro poczuła rękę moją na swem ramieniu, natychmiast wyprostowała się, stanęła silnie o własnej mocy i odsunąwszy mnie ręką na bok, przeszła pokój pewnym krokiem i pociągnęła taśmę od dzwonka tak gwałtownie, że dźwięk jego rozległ się głośno po sieniach i całym domu.

— Konia! — rzuciła przez zęby głosem szorstkim, rozkazującym, jakiego dawniej nigdy nie słyszałem w jej ustach, gdy Antoni wystraszony wpadł do salonu.

Nie śmiejąc się już zbliżyć, ani odezwać, stałem z boku milczący, patrząc za nią z niepokojem i smutkiem, kiedy wlokąc za sobą niezebrany ogon amazonki, blada ciągle i z tem samem spojrzeniem oczu sztywnem, prawie dzikiem, przeszła obok mnie, wyszła na werandę i czekając na konia, stanęła na tym samym stopniu, gdzie przed chwilą Eugeniusz wyznawał pannie Lalce miłość swoją.

W minutę Grzegorz z Buranem, stanęli przed gankiem. Ksenia zeszła ze wschodów i milcząc, nie zwracając nawet uwagi na rżenie swego faworyta domagającego się zwykłej pieszczoty, wskoczyła na siodło i wymierzywszy koniowi szpicrutą silny raz pomiędzy uszy, ruszyła z miejsca tak szalonym galopem, że aż ziemia wyrzucona kopytami karego obrylgała tak moją twarz jak Grzegorza.

Patrząc na tę jazdę szaloną, pomyślałem sobie, że niepodobna puszczać ją w obecnym stanie tak samą i rozkazałem natychmiast podać mi mego siwka, ktory na szczęście, stał dnie całe osiodłany

przy żłobie i potrzeba tylko było założyć mu munsztuk, aby był gotowy do drogi.

Nie myślałem bynajmniej narzucać się Kseni za towarzysza. Czułem dobrze, że w takim nastroju duszy, w jakim znajduje się w tej chwili, może czuć potrzebę samotności a nawet przy usposobieniu jakie posiadała moja Ukrainka, wyhasania się na swobodzie i zmęczenia fizycznego. Lękałem się przecież, aby po wzruszeniu tak gwałtownem, nie opanowała ją zwykła słabość niewieścia, aby nie zemdlała gdzie w polu, aby koń ją nie zrzucił, przy stanie prawie nieprzytomnym i zwiększającej się coraz więcej ciemności. Chciałem jechać za nią, trzymając się zawsze tak z daleka, aby nie dostrzegła mnie wcale, nie domyślała się nawet, że czuwa nad nią opiekuńcze oko starego przyjaciela.

Skoro też tylko wyprowadzono mego siwoszka, dosiadłem go jak najspieszniej i co koń wyskoczy ruszyłem za śladami Burana, które w wilgotnej, rozgrzęzłej jesiennemi deszczami ziemi znaczyły się wyraźnie i głęboko.

Trudno mi było przecież dogonić moją amazonkę. Mój domorosły siwoszek nie mógł nigdy współzawodniczyć z angielskim rumakiem i kiedy wybiegłem po za zabudowania dworskie, na drogę wiodącą do lasu, jak okiem zasięgnąć zdołałem, nie dostrzegłem już nikogo. Przebiegłem tę drogę w kilka minut i szalonym pędem wpadłem do lasu. Tu przecież także nie ujrzałem nigdzie Kseni, ślady tylko kopyt wyryte głęboko, wskazywały, że przebiegała tu przed chwilą, nie folgując koniowi ani na minutę. Świsnąłem na mego Strzałkę i popędziłem dalej.

Na końcu starego lasu, a gdzie zaczynał się młody zagajnik sosnowy, spostrzegłem, że Ksenia skręciła na prawo, wązką dróżką prowadzącą w głąb' dalszą. Była to zwykła leśna drożyna, wyjeżdżona chłopskiemi wózkami, pełna błota, wyboi i pieńków, które ciągle wymijać było trzeba. Właściwie prowadziła ona do Woli, ale można nią było także pod samemi Wolki zabudowaniami dojechać zwirówki i nią prosto powrócić do Młynów. Sądząc, że Ksenia tak sobie właśnie oznaczyła drogę i uspakajając się myślą, że może już teraz dopadłszy szosy, najspokojniej powraca do domu, zwolniłem nieco biegu koniowi i nie takim już forsownym galopem przebiegłem zagajnik i gęste leszczynowe zarośla. Skoro przecież wydostałem się na czyste pole, dostrzegłem z podziwem że moja amazonka zamiast kierować się drożyną wprost na szosę, skręciła znowu w lewo, na wązką ścieżkę polną, prowadzącą bezpośrednio do dworskiego w Woli ogrodu.

Zaniepokojony nanowo, nie pojmując zupełnie co to znaczy, dałem ostrogi koniowi i puściłem się za śladami Burana prawdziwie wyścigowym biegiem.

Niezadługo mój siwy, zlany potem, dysząc zatrzymał się przy parkanie niezbyt wysokim, otaczającym od strony pola siedzibę Mirskiego. Tutaj nagle kończyły się ślady kopyt, które aż dotąd wskazywały mi drogę i napróżno rozglądałem się na prawo i lewo, starając się dopatrzyć na trawie i piasku ich dalszego ciągu. Nie wiedząc gdzie dalej szukać mej amazonki, zatrwożony, oglądałem się dokoła za jaką żywą duszą, któraby mnie objaśnić i poinformować mogła co do dalszego kierunku jej drogi, gdy naraz z za parkanu odezwało się dźwięczne rżenie konia, na które mój siwy odpowiedział radośnie.

Struchlałem! Buran w ogrodzie Mirskiego? Ależ jeśli jest tam on, musi tam być i Ksenia!

— Co ona tam robi? — pytałem się sam siebie, zsiadając z konia zdesperowany i prawie drżący.

Nie pojmując tego wszystkiego, nie namyślając się ani chwili, porzuciłem konia w polu i wdrapawszy się na parkan, spuściłem się na drugą jego stronę.

Zastałem tam istotnie zapienionego i robiącego silnie bokami Burana, przywiązanego do drzewa pomiędzy gęstemi krzewami bzów i czeremchy.

W ogrodzie było cicho, spokojnie, żaden odgłos nie przerywał tajemniczej ciszy wieczora, słychać tylko było od czasu do czasu szelest spadającego suchego listka.

Cień zupełny, spotęgowany jeszcze gęstwiną drzew i zarośli, zalegał już tę cichą ustroń. Wprost od parkanu, do dworku ukrytego prawie w masie drzew i zieleni, prowadził szeroki szpaler z grabiny strzyżonej, teraz pożółkłej i przerzedzonej znacznie z liści, na którego końcu świeciły jasno oświetlone okna i drzwi otwarte na ogród z Mirskiego pokoju.

Kiedy spojrzałem w perspektywę tego szpaleru, zdawało mi się, że na tle światła bijącego z okien dworku, zarysowała się ciemna, smukła, postać Ukrainki.

Nie zdając sobie sprawy z tego wszystkiego, puściłem się pędem za nią. Nie rozumiałem nic, czułem tylko instynktowo, że moja faworytka popełnia w tej chwili jakieś szaleństwo, niedorzeczność, której może żal całego życia zmazaćby nie był zdolnym i pragnąłem wstrzymać ją kosztem choćby mego życia.

Zapomniałem przecież, że jestem starym inwalidą i dobiegłem właśnie dworu wtedy, gdy Ksenia stanęła już w jasno oświetlonych drzwiach jego.

Nie wiedząc teraz co czynić, widząc, że zatrzymać ją już zapóźno... odsunąłem się na stronę i stanąłem w jednem z otwartych okien i mając tym sposobem cały pokój Mirskiego przed sobą, mogłem być świadkiem niewidzialnym całej sceny, która rozegrała się pomiędzy nim a Ukrainką.

W chwili gdy Ksenia stanęła w progu drzwi otwartych, młody mój przyjaciel siedział zajęty pisaniem, przy wielkim stole założonym stosami papierów. Był tak oddany swej pracy, że nieposłyszał nawet lekkiego szmeru jaki sprawiła wlokąca się po ziemi amazonka Kseni i dopiero, kiedy nieodstępny jego angielski dog warknął pod stołem, podniósł głowę.

O ile uczucie jakieśkolwiek mogło odbić się na jego spokojnej twarzy, o tyle spostrzegłem mocne zdumienie z jakiem ujrzał stojącą przed sobą Ksenię. Powstał i pierwszym jego ruchem było to, że dwoje drzwi wiodących z pokoju w głąb' domu, przekręcił na dwa spusty, potem dopiero zbliżył się do dziewczyny, która stała około progu, blada śmiertelnie z rozrzuconemi szaloną jazdą włosami i oczyma pociemniałemi od gorączkowego blasku.

— Na Boga, co się stało? — zapytał patrząc w jej twarz zmienioną.

— Nic! — odparła głosem głuchym, bezdźwięcznym, postępując kilka kroków naprzód i stając w jasnym kręgu światła bijącego od stojącej na stole lampy. — Przed kilku miesiącami prosiłeś mnie pan o rękę i odmówiłam... otóż teraz przychodzę sama prosić cię... weź mnie!

Zdawało mi się, że Mirski prawie się zachwiał, stał się teraz bladym tak prawie jak Ksenia i stał przed nią długo ze spuszczonemi oczyma milczący i poważny.

Po chwili dopiero podniósł głowę i ogarnął dziewczynę nieopisanie tkliwem spojrzeniem swoich smutnych szafirowych oczu.

— Nie mogę, pani — rzekł łagodnie, głosem smutnym.

Zmartwiałe, ściągnięte boleścią rysy Kseni zadrgnęły nagle.

— Dlaczego?! — zapytała gwałtownie, przenikając młodego człowieka błyskawicą płomiennych oczu.

Mirski usmiechnął się łagodnie.

— Czy możesz pani odpowiedzieć mi sumiennie i szczerze, jak na kobietę prawą i szlachetną przystoi, że kochasz mnie?

Dziewczyna potrząsła głową.

— Nie — rzekła z prostotą rozpaczliwą — nie kocham pana!... nie kocham pana! — powtórzyła jak ktoś tracący z bólu przytomność. — Ale to nic nie szkodzi! — dodała natychmiast gorączkowo. — Pokocham... przywiążę się do ciebie... będę ci żoną najlepszą, najwierniejszą, stanę się twą niewolnicą, sługą! Tylko mnie weź... tylko mnie ratuj!

— Od czego mam cię ratować panno Kseniu? — zapytał Stefan bardzo poważnie.

— Ah! — zawołała Ukrainka zaplatając rozpacznie dłonie — czy pan zrozumiesz uczucie rozbitka, któremu nagle wszystko usunęło się z pod nóg? Czuję pod sobą przepaść... widzę dokoła wszędzie tylko otchłań...

— I dlatego szukasz pani przepaści gorszej jeszcze, aby rzucić się w nią odrazu? Oddajesz się człowiekowi niekochanemu. Pani, to śmierć moralna!

— Ja też chcę śmierci! — zawołała dziewczyna namiętnie, patrząc się na niego gorączkowemi oczyma.

— I przyszłaś tu pani do mnie sądząc, że pomogę ci popełnić samobójstwo? — zapytał Stefan dziwnym głosem. — Mnie przecież niewolno tego czynić... niewolno mi korzystać z chwilowego zwątpienia pani i mam święty obowiązek czuwać w tej chwili nad szczęściem całego twego życia! Przychodzisz do mnie w chwili rozpaczy, pod wrażeniem ciosu, którego nie znam, ale którego się domyślam i wołasz: weź mnie! Mówisz mi, że pokochasz mnie kiedyś, że się przywiążesz, przywykniesz... A cóż by było gdybyś nie przywykła? Cóż byłoby, gdybym teraz przyjął twą rękę i przywiązał cię do siebie na zawsze, a ty zamiast przywyknąć, po roku, dwóch, po kilku latach uspokoiwszy się, wypocząwszy pod dachem mego domu, ożyłabyś na nowo... przebudziła się z letargu, zobaczyła, że przecież ten świat jest piękny, że świeci jeszcze na nim słońce, zielenią łąki i kwitną kwiaty, i zapragnęła powrócić do niego napowrót. Wtedy jak ptaszę pragnące swobody, biłabyś rozpacznie skrzydełkami o ściany tego domu, który stałby się dla ciebie klatką bezlitosną i widziałabyś we mnie samoluba, tyrana, który skorzystawszy z chwili twej słabości przykuł cię do siebie jak niewolnicę. Gdybym był starszym i wychłodłym już człowiekiem, gdybym ci mógł ofiarować uczucie serdecznej przyjaźni tylko, to przyjąłbym z radością rękę twoją, otworzyłbym ci drzwi mego domu, otoczył opieką najczulszą, stał się dla ciebie opiekunem, ojcem, bratem... a potem, z pierwszym promieniem ciepłego słońca, wypuścił cię na wolność bez żalu, bez tęsknoty! Ale ja kocham ciebie zanadto! Wiem, że gdybym raz dostał ciebie w ramiona, jużbym nigdy nie puścił od siebie. Czuję, że dzieląc nawet los męża niekochanego, mógłbym przy tobie być jeszcze bezgranicznie, szalenie szczęśliwym...

Nagle twarz jego zmieniła się dziwnie, głos drżał wzruszony, szafirowe oczy zabłysły jasnym blaskiem i objęły postać stojącej przed nim dziewczyny. Natychmiast przecież zapanował nad sobą i cofnął się o krok od niej.

— Widzisz przecie pani... muszę cię bronić przed samym sobą! — rzekł z uśmiechem półsmutnym, półgorzkim.

Ksenia słuchała go zapatrzona w płomień lampy.

— Cóż ja z sobą zrobię?! — zawołała z głuchą rozpaczą — co ja z sobą zrobię? Wkoło mnie tak pusto i ciemno...

— Uspokój się pani — odrzekł Mirski poważnie. — Bądź odważną, mocną i nie poddawaj się rozpaczy a znajdziesz z pewnością miejsce, które powiedzie cię na jaśniejsze drogi. A jeśli do pomocy potrzeba ci będzie ręki przyjaciela, to bądź pewną, że nie braknie ci jej nigdy!

— Tak — odparła dziewczyna — czuję, że tylko ręka pana wprowadzić mnie tam może! Jesteś rozumny i mocny. Ale musisz mi ją podać nie jako przyjaciel tylko!

— Nie mogę inaczej — odparł młody człowiek gorzko.

Ukrainka wyprostowała się nagle, nie była już w tej chwili bladą, na twarzy jej błyszczały purpurowe, palące rumieńce.

— Ah! — rzekła z ironią, przenikając go płomiennemi oczyma — lękasz się mnie?

— Lękam się o panią tylko — odparł Mirski bardzo seryo.

— Nieprawda! — zawołała szydersko — lękasz się o szczęście swoje! Wiesz że jestem szaloną, widzisz że przyszłam tu jak kobieta pozbawiona rozumu, aby narzucić ci się sama i lękasz się wpuścić do domu waryatkę, aby nie zburzyła ci tego spokoju i ciszy, które sobie stworzyłeś... Ah!—dodała z pogardą odwracając się do wyjścia — jesteście wszyscy nikczemni i tchórze!

Mirski milcząc wysłuchał tego pocisku, który najniespodziewaniej spadł na jego głowę. Był już w tej chwili zwykłym chłodnym „Anglikiem" i sięgnął na stół, najspokojniej po kapelusz, z widocznym zamiarem towarzyszenia dziewczynie, po za próg swego domu, jeśli już nie do Młynów.

Skoro przecież tylko Ksenia ukazała się we drzwiach wysunąłem się z cieni i stanąłem przy jej boku.

— Ah, jesteś tu pan! — rzekł ujrzawszy mnie Stefan.

Nic nie mówiąc podałem ramię Kseni i w milczeniu przeszliśmy wszyscy troje szpaler grabowy, na którego końcu Mirski jakąś furtką ukrytą wśród zarośli, wypuścił nas wraz z Buranem, prosto w pole.

Teraz dopiero pomyślałem o mym koniu, którego dzięki jego spokojnemu temperamentowi, znalazłem szczęśliwie skubiącego trawę pod parkanem ogrodowym, po za którym czując stajennego towarzysza, nie myślał oddalać się do domu.

Pożegnawszy młodego gospodarza milczącem ściśnięciem dłoni, wsadziłem na konia moją szaloną amazonkę i dosiadłszy siwoszka zawróciłem do domu.

Przez całą drogę nie przemówiliśmy do siebie ni słowa. Ksenia jechała jak senna, trzymała cugle bez ruchu w sztywnych, niby martwych rękach i widziałem dobrze, że koń własnym instynktem niesie ją tylko.

Kiedyśmy zajechali przed drzwi domu, niechcąc aby kto ze służby spostrzegł stan w jakim się znajduje, zeskoczyłem pierwszy z konia i ująwszy ją wpół, jak dziecko, zniosłem z siodła, a następnie zaprowadziłem ją wprost do drzwi jej pokoi, gdzie jak sądziłem samotność i cisza, uspokoją ją najlepiej, po ciężkich przejściach, jakie jej dał wieczór dzisiejszy.

Skoro otworzyłem przed nią drzwi i wprowadziłem do wesołych rozkosznie oświetlonych różową lampą pokoi, dziewczyna ujęła moją rękę i ścisnęła ją mocno w obydwóch swoich dłoniach, potem nie patrząc na mnie popchnęła lekko ku wyjściu i usłyszałem po za sobą trzaśnięcie zamka, przekręcanego na dwa spusty.

(*D. c. n.*)

SŁUGA PORPORY.

ZE ŚWIATA SZTUKI.

(Z niemieckiego.)

— Czy służący, który miał dziś rano przybyć nie przyszedł jeszcze?

— Nie, panie, jeszcze nie przyszedł.

— Jeżeli do wieczora nie nadejdzie, trzeba się o innego postarać, Jakóbie.

— Bardzo dobrze; ale przebacz pan staremu słudze, że się ośmielę zapytać, czy pan już nie jest ze mnie zadowolony?

— Cóż znowu Jakóbie, przeciwnie, jestem z ciebie bardzo zadowolony.

— W takim razie z przeproszeniem, chciałbym wiedzieć, dlaczego panisko życzy sobie koniecznie nająć jeszcze drugiego służącego?

— Zanadto ciekawyś Jakóbie!

— No, jakże panie?

— A jeżeli ja to czynię w chęci ulżenia ci?

— Moja służba nie jest zbyt ciężką i trudną.

— Zresztą w tym roku zarobiłem tyle pieniędzy że mogę przecież pozwolić sobie tej rozkoszy, przytem złe języki mogłyby powiedzieć, że Porpora na starość zaczyna ciułać grosze.

— A... tak, to co innego!

— Zresztą ty się już starzejesz... tobie nieraz potrzeba wytchnienia, odpoczynku...

— Hm! hm!

— Rozumie się, że tak! W końcu Jakóbie, ta rzecz już zdecydowana. Skoro więc przybędzie ten nowy sługa, daj mi zaraz znać, a potem opowiedz mu, co ma robić. Ja tymczasem pójdę odwiedzić markizę Ferenta, gdyby zaś przypadkiem dyrektor teatru przysłał po partyturę, to znajdziesz ją na mojem biurku.

I wziąwszy kapelusz, pan, który prowadził powyższą rozmowę, wyszedł na ulicę. Był to Porpora, znakomity kompozytor w początkach XVIII stulecia, którego ogólnie nazywano patryarchą harmonii.

Jakób nie był wcale zdania swego pana i pomocnika bynajmniej nie żądał; skoro więc Porpora wyszedł na ulicę, stary sługa nie żartem wybuchnął gniewem, który starannie w obecności swego pana ukrywał i zaczął nielitościwie czyścić ubranie, zmiatać kurze i przyprowadzać do porządku mieszkanie.

— No, zobaczymy — mruczał — jak to nowa usługa weźmie się do roboty. Już to prawda, że ci panowie to wszyscy niewdzięczni, a osobliwie muzycy. A któż to każdego rana podawał mu śniadanie, kiedy jeszcze leżał w łóżku? A któż to lepiej ode mnie potrafi zmiatać kurze z jego fortepianów?

W czasie tego monologu, zastukano do drzwi wchodowych. Jakób poszedł je otworzyć.

Przybysz był młodzieńcem lat najwyżej szesnastu, o miłej i skromnej powierzchowności.

— Czego chcesz kochanku? — zapytał go Jakób.

— Czy tu mieszka muzyk Porpora?

— Tak, tutaj, proszę wejść.

Jakób zaraz się domyślił, kto był owym przybyszem i niedługo czekając zaczął go przygotowywać do nowego obowiązku, lekcya poszła widocznie dobrze, bo skoro Porpora wrócił do domu, to zastał Józefa zręcznie uwijającego się po pokojach, zmiatającego kurze i przyprowadzającego do porządku rozmaite przedmioty, tak jak gdyby już lata znajdował się w tym domu.

Porpora był człowiekiem charakteru nieco dziwacznego, wyobraźnię miał bujną, żywą a serce bardzo miękkie. Urodził się w 1665 roku i prawie jeszcze w dziecięcych latach został uczniem sławnego muzyka Scarlatti'ego. Po kilku szczęśliwych próbach Porpora zaczął gorliwie pracować dla teatrów, i w trzydziestym szóstym roku życia utworzył więcej niż pięćdziesiąt operetek. Sława jego była wielką, bo przytem znano go nietylko z teatru. Wydawał publiczne bale, koncerta, urządzał pikniki i zabawy, na które zjeżdżała się cała arystokracya wiedeńska. Zawdzięczając swemu charakterowi Porpora, słynął jako dziwak i nie na próżno; będąc dyrektorem szkoły muzycznej, nie wykładał w niej wcale, gdyż nie chciał mieć uczni, którym by musiał objawiać tajemnicę swej sztuki. Jego gabinet roboczy, był niedostępną świątynią dokąd nikt z wyłączeniem Jakóba przeniknąć nie mógł, a własne jego utwory były zawsze pod kluczem. Jakóba zaś Porpora nie uważał za niebezpiecznego świadka swej pracy. Takież same zdanie powziął wkrótce i o młodym Józefie, którego za gorliwość w służbie bardzo polubił, to też po sześciu tygodniach, Jakób ze smutkiem spostrzegł, iż w osobie Józefa znalazł silnego współzawodnika; staruszek patrzał z zazdrością, jak Porpora wszelkie ważniejsze poruczenia wkładał na młodzieńca i jak tenże interesa muzyczne swego pana ze zręcznością załatwiał.

Wtedy Jakób zwykle zaczynał po cichu biadać, gniewać się i w końcu z oburzeniem wyrzekał:

— Otóż, taka to wdzięczność od panów.

Pewnego razu Jakób oznajmił swemu panu, że przyjechał do niego dyrektor cesarskich teatrów. Ponieważ to była bardzo wczesna pora, przeto kompozytor z niemałem zdziwieniem, przyjął pana Kratz'a.

— Tak, tak; bardzo to brzydko z pańskiej strony, panie Porpora, bardzo brzydko. To sprawia mi wielką szkodę.

— Co się to znaczy, panie Kratz... co chcesz przez to powiedzieć?

— O, nie udawaj pan; wiesz dobrze o co chodzi. Ale dzięki Bogu, nie uda się panu oszukać mnie. Ja z panem rozpoczynam proces!

— Ależ panie Kratz...

— O! postępować tak ze mną... z człowiekiem, który panu daje dwadzieścia tysięcy florenów dochodu... ależ to niegodnie, to oburzająco!...

— Panie Kratz, bądź łaskaw wytłomaczyć się. Przyznaj, że niewiele zrozumię, gdy patrzeć będę na pańskie machanie rękami i na to, jak mi laską psujesz dywany? Co pana spowodowało do tak wczesnych odwiedzin?

— Tu wszelkie tłomaczenia nie na miejscu, pa-

nie Porpora! Proszę tylko pamiętać, że między nami są warunki, istnieje prawny kontrakt, kto go z nas pierwszy naruszył?... Rozumie się nie ja... i idę uprzedzić samego cesarza...

— Posłuchaj panie Kratz; bardzo źle spałem tej nocy, a ty mi jeszcze psujesz poranek.

— Dobrze, dobrze łaskawy panie, zobaczymy czy cesarz przyjmie podobne wykręty.

— Ależ w końcu, co mi pan tutaj mówisz nic a nic tego nie rozumiem!

— Ostatecznie nie mam już nic do powiedzenia. Przyszedłem tylko uprzedzić cię, panie Porpora, że rozpoczynam z nim proces; zrywam kontrakt i żądam od pana sto tysięcy florenów za wszelkie straty i ubytki, jakie z jego łaski poniosę.

— No, jeżeli z tego wszystkiego choć słówko zrozumiałem, to niech...

— Bądź pan zdrów, panie Porpora!

— Do widzenia panie Kratz.

Porpora oniemiał z podziwienia i oburzenia. Jakto! — pomyślał — ten sam Kratz, dyrektor cesarskich teatrów w Wiedniu, którego kompozytor zwykł był zawsze widzieć przed sobą ze spuszczoną głową i nizkiemi pokłonami, śmie dzisiaj okazywać mu taką dumę i gadać tyle nieprzyjemności? Nie, w tem jest coś ważniejszego, coś takiego co trzeba koniecznie wyjaśnić.

I wielki muzyk, który dyrektora przyjmował jeszcze w łóżku, wyskoczył prędko z pościeli i zaczął dzwonić.

Na odgłos dzwonka przybiegł Jakób.

— A to ty Jakóbie?

— Tak, panie; dawno już nie miałem szczęścia oglądać oblicza pańskiego, lecz takie jest pańskie życzenie, dopuszcza pan do siebie tylko Józefa...

— Zupełnie się mylisz Jakóbie i ciebie bardzo chętnie widzę. Nie o tem tu jednak mowa. Idź mi zaraz do reżysera teatru, oddasz mu list ode mnie i przyniesiesz odpowiedź.

— Biegnę natychmiast panie!

— Nie ma potrzeby biedz — rzekł Porpora spojrzawszy troskliwie na słabe i trzęsące się nogi swego starego sługi — mnie znowu nie tak pilna jego odpowiedź.

Rozmowa z Kratz'em wprawiła Porporę w zły humor i napróżno starał się rozwiać smutek, który go ogarnął. Próbował zapomnieć o tem w muzyce, lecz instrument pod jego palcami wydawał tylko żałobne i tęskne tony, które tembardziej rozstrajały Porporę.

— Nie, źle zacząłem dzień dzisiejszy i nic dobrego nie jestem w stanie uczynić.—Pomyślał potem, zaczął przeglądać papiery i zeszyty leżące w nieporządku na stole. Nagle zasłona, przy której był zajęty poruszyła się dziwnie i szczątki wspaniałej, porcelanowej wazy, rozleciały się u nóg jego. Wstał chcąc wyjaśnić przyczynę tej szkody, lecz dostrzegł w tej chwili Józefa, który z zeszytem w ręku blady i drżący zbliżył się do niego.

— A, to ty Józefie? Powiedz mi z łaski swojej co robiłeś za tą zasłoną?

— Ja... ja... — I twarz młodego sługi zarumieniła się nagle.

— Patrzaj niezgrabo, jaką piękną rzecz rozbiłeś! Ale co ty tam trzymasz w ręku?... Nuty?... Doprawdy, co się to znaczy?

Położenie Józefa było nie do pozazdroszczenia; lecz szczęściem nadszedł Jakób z odpowiedzią i badanie przerwało się. Na dany znak pana winowajca odszedł nie rzekłszy ni słowa.

— No i cóż Jakóbie — przyniosłeś mi odpowiedź?

— Oto jest panie.

I Jakób podał kompozytorowi gruby zwój papieru.

— Co to? Partytura mojej nowej opery, która miała być wystawioną?

— A tu jeszcze list — dodał Jakób.

Porpora zerwał kopertę i zaczął czytać.

„Panie Porpora!

„Wróciłem właśnie w tej chwili, kiedy pański sługa przyniósł list do reżysera. Pojmuję, że dzisiejszy poranek musiał wprawić pana w pewien niepokój. Odpowiedź niniejsza ostatecznie zapewni pana o prawdziwości słów wyrzeczonych dziś rano przeze mnie. Zwracam przeto rękopis pańskiej opery i nie wątpię, że mój szczęśliwy współzawodnik dyrektor przedmieściowego teatru będzie w zupełności zadowolony, iż może wystawić tę operę jednocześnie z wykonaniem koncertu, który pan mu już odstąpiłeś.

„Mam honor zostać...

Kratz."

Uspokoiwszy się nieco, Porpora starał przypomnieć sobie wszystko, co pisał w ostatnich czasach, aby mógł usprawiedliwić się przed Kratzem, unieważniając dziwne jego pretensye, ale napróżno, wiedział on dobrze, że już od dwóch lat nic ze swoich materyałów nie opracowywał dla druku. Zapewne kompozytor dla wyjaśnienia sprawy, mógłby się był udać do dyrekcyi teatru a nawet i do samego kanclerza, ale miłość własna wstrzymywała go od tego kroku.

Uzbrajając się więc w cierpliwość oddał czasowi rozwiązanie tej zagadki. Przytem była wtedy letnia pora z trudnemi do zniesienia upałami i całe miasto opustoszało, bo wszystka arystokracya udała się na letnie pomieszkania. Sam Porpora był rad temu, że pomimo woli opera jego odłożoną została do zimy, w którejto porze z powrotem publiki będzie mogła być lepiej ocenioną.

Tak przeszły trzy miesiące i w przeciągu tego czasu pan Kratz nabył parę utworów scenicznych, ale te nie miały wielkiego powodzenia i nie przyniosły teatrowi spodziewanych korzyści.

Porpora zwykł był pracować w rannej porze a Józefowi poruczono budzić swego pana. Ale jakież było zadziwienie kompozytora, skoro pewnego razu obudziwszy się w nocy i wstawszy dla narzucenia na papier kilku ze swoich genialnych myśli, jakie mu przyszły do głowy, spostrzegł, że lampa, którą sam wieczorem zagasił pali się a co ważniejsza, że stoi nie na zwykłem swojem miejscu. Wieczorem lampa była postawioną na kominku, a rano zaledwie świecąc i z wykręconym na wpół knotem, znalazła się na fortepianie, przy niej zaś kilka rozrzuconych i odkrytych zeszytów z nutami, jawnie świadczyły o pobycie w pokoju obcej osoby. Ale któż to mógł być? Rozumie się nie złodziej, bo wszystkie drogocenne przedmioty, zegarek, tabakierka złota i woreczek z pieniędzmi leżały nienaruszone na swojem zwykłem miejscu. Przypominając sobie wtedy rozmowę z Kratzem i wymówkę listowną, jakoby on, Porpora, odstąpił swój koncert dyrektorowi przedmieściowego teatru, powziął prawdopodobne podejrzenie, iż ktoś trzeci potajemnie działa w jego imieniu. Przywołał tedy Józefa.

— Jutro będziesz spał w moim pokoju — rzekł do niego.

Józef zarumienił się.

— A może się boisz? to powiem Jakóbowi.

— Nie, nie boję się — odrzekł Józef usiłując skryć radość w jaką go wprawiły te słowa — położę się gdzie pan każe.

Porpora uspokoił się będąc teraz pewnym, że nikt już nie zakradnie się do jego gabinetu. Ale nie przestawał rozmyślać o liście Kratza, boć niepodobieństwem było przypuszczać, żeby wykonanie koncertu w przedmieściowym teatrze miało być jego, Porpory, sprawką. Smutna historya! I to wszystko tak zgubny wpływ wywarło na imaginacyą i zdrowie muzyka, że doktorzy skazali go na zupełną bezczynność.

Podczas kuracyi Józef nie odchodził ani na krok od swego pana; uprzedzał wszelkie jego życzenia, otaczał pieczołowitością i doglądał go prawdziwie z miłością synowską. Jakób był zapomniany. Nadszedł listopad. W mieście mówiono tylko o niezwykłym spektaklu w przedmieściowym teatrze, w którym ma być wykonany sławny koncert; jedni przypisywali go Porporze, drudzy jednemu z jego uczni, ale nikt nie wymieniał nazwiska tego ostatniego.

W przeddzień przedstawienia, Porpora rzekł do Józefa:

— Mój drogi, postaraj się o dwa miejsca na jutrzejszy koncert, niezważając wcale na cenę.

— Niepotrzeba panie. Dostałem już lożę i będę bardzo szczęśliwy, jeśli będę mógł oddać ją do pańskiego rozporządzenia.

— Ale przecież miejsca będą rozkupywane za grube pieniądze. Jakżeś mógł..

— To moja tajemnica... książę Esterhazy chce mi dopomódz.. i...

— A, książę Esterhazy chce ci dopomódz, czego ci winszuję. Ale powiedz mi kochanku, gdzie poznałeś księcia?

— Poznałem go wtenczas, kiedy byłem przy kapeli hrabiego Baugwitza.

— Ty? przy kapeli? A cóżeś tam robił, usługiwałeś zapewne?

— Nie, panie, grałem na organach.

— Hm? grałeś na organach? Wieleżeś tam pensyi pobierał?

Siedmnaście krajcarów.

— To mało. No, ponieważ posiadam sługę, który grywa na organach, to muszę mu podwyższyć płacę, od przyszłego miesiąca, panie organisto, będziesz pobierał podwójną pensyą.

— Racz wybaczyć wielmożny panie, że nie będę mógł korzystać z jego łaski. Od pojutrza bowiem mam zamiar zupełnie porzucić służbę.

— Jakto, Józefie! Porzucić służbę i opuścić mnie! Jakie masz powody, może ci Jakób dokucza?

— Nie, panie, Jakób bardzo porządny człowiek; ja tylko sam nie chcę już nadal pełnić obowiązków służącego.

— A, rozumiem, chcesz młodzieńcze... zmienić zajęcie.

— Tak, panie, moje interesa są już na ukończeniu... znalazłem swoją drogę, a pojutrze los mój rozstrzygnie się ostatecznie.

— Co przez to rozumiesz Józefie?

— Pojutrze ja albo... Nie, panie, to jeszcze moja tajemnica.

— Niechże tak będzie tajemniczy panie! Ale tymczasem bądź łaskaw zająć się mojem ubraniem i przygotuj płaszcz niebieski, bo w teatrze zapewne będzie zimno.

W dzień spektaklu, teatr przedstawiał rzadki widok, wszystkie loże zajmowały nadobne panie w pięknych i bogatych kostiumach. Miłośnicy muzyki, artyści, dziennikarze i miejscowa inteli-

gencya napełniali *foyer* i grupując się rozprawiali o oczekiwanym koncercie. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali rozwiązania zagadki, bo wszyscy po większej części wiedzieli o nieporozumieniu, jakie istniało między Kratzem i Porporą. Obecność tego ostatniego w parterowej loży naprzeciwko loży dyrektora cesarskiego teatru, tembardziej wzbudzała ogólną ciekawość.

W czasie wykonywania pierwszej sztuki, szmer tłumu przyjmował rozmaite odcienia, to przyciszał się to zwiększał.

— Patrzcie, oto Porpora — mówiono — czy to on jest autorem?

— A tak, Porpora, przyszedł zniweczyć Kratza!

— Jaka smutna mina u Porpory!

— Patrzcie jaki Porpora wesoły. On na śmierć pokłócił się z Kratzem, a dziś wieczór pewno się przeproszą.

Nakoniec nadeszła upragniona chwila. Kurtyna podniosła się. O! co się wtedy działo z sercem Porpory! Tak silnie biło ono w piersiach kompozytora, że zdaje się, iż obecni mogli usłyszéć jego przyśpieszone tętno. Wtem, jeden z oficyalistów teatralnych oznajmia publiczności, że sam autor życzy sobie wykonać swój utwór. Otóż i on! Patrzcie jaki młody! Brawo! brawo! — I rzeczywiście młodzieniec zaledwie wyszły z dziecinnych lat, zjawia się na scenie z blademi i drżącemi usty, z miną skromną i pełną uszanowania.

Porpora jednocześnie z Kratzem kierują lornety na zaczynającego artystę.

— Ależ to mój Józef! — wykrzykuje niemogąc ię wstrzymać Porpora.

— Nie znam go! — krzyczy ponuro Kratz.

— Ciszej, ciszej, zamilczcie!—wołano ze wszech stron, bo wirtuoz biegłą ręką przebiega po strunach skrzypiec i zaczyna swój utwór.

Co za cudowna i wskroś przejmująca muzyka! To cały poemat, w którym naprzemian słyszéć się daje, to śmiech szyderski, to radość, to smutek, to znów żart wesoły, wywołując pomimo woli raz uśmiech na twarzach słuchaczów, to znów dreszcz nerwowy lub też pogrążając ich w głęboką zadumę. A lekki, delikatny i prawdziwie czarodziejski smyczek, to ślizga się, skacze, odskakuje, to kurczy się, czołga zwija i raptem zamiera, lub też staje się gniewnym, surowym, smętnym i żałosnym...

Słuchacze wstrzymują oddech i siedzą zadumani, jakby w krainie marzeń. Młody z poważnym obliczem artysta ostatni raz uderza w struny i tem zakończa swój koncert. Zwraca się następnie do loży Porpory i improwizuje jedną z tych fantastycznych i czarujących melodyi, które na wskroś przejmują duszę słuchacza.

Oklaski zagłuszają teatralną salę!...

I spełniło się życzenie Józefa, utorował sobie drogę, uzyskał i utrwalił imię wielkiego muzyka. Nawet Porpora, którego czoło na widok młodego Józefa z początku zasępiło się nieco, bo przeczuwał w nim niebezpiecznego w swej sztuce rywala, sam mu teraz przyklaskiwał. Pan Kratz tymczasem zniknął.

Podczas tych owacyi, z głębi jednej loży rzucono wieniec do stóp młodego artysty. Radosne okrzyki i oklaski znowu napełniły salę. Józef podniósł wieniec, przeszedł z nim przez całą scenę i ukłoniwszy się publiczności, rozerwał wieniec na dwie połowy, jedną z nich przyłożył do serca, a drugą zgiąwszy kolano wręczył wzruszonemu Porporze.

Może sobie czytelnik przedstawić, jak silne wrażenie wywarło na wszystkich takie wzniosłe i piękne wyrażenie miłości i czci swemu tajnemu mistrzowi i wielkiemu talentowi, jakie Józef okazywał Porporze.

Oklaskom nie było końca i cała scena pokryła się literalnie kwiatami i bukietami tak, że Józef zmuszony był sam dla zakończenia swojego tryumfu, skryć się w bocznych drzwiach sceny.

Wróciwszy do domu, Porpora znalazł na stole kartkę napisaną na prędce ołówkiem, następującej treści:

„Kochany panie Porpora!

„Racz wybaczyć mi kochany panie, moje niewłaściwe i niegrzeczne znalezienie się w wiadomej panu sprawie. W skutek rozmaitych błędnych pogłosek dzisiejszy koncert przypisywano panu. Mam honor zapewnić go, że pomimo pochwał ogólnych, jakie się sypały na młodego kompozytora, niedaleko on zajdzie. Przy niniejszem załączam 4,000 florenów, które panu winienem i proszę uprzejmie o zwrócenie mi swojej opery, bo nie mam nic do wystawienia.

„Zostaję z szacunkiem i wieczną przychylnością
Kratz."

Porpora uśmiechnął się i rzucił list na biurko. W tej chwili zastukano do drzwi.

— Jakóbie, otwórz!

Jakób nie odpowiedział i Porpora sam zeszedł otworzyć.

— Józefie, w taki wieczór i wróciłeś do mnie!— wykrzyknął zdziwiony Porpora.

— Tak, panie. Przecież powiedziałem, że dopiero jutro oddalę się od pana.

— Prawda. Ale powiedz-no mi, mój artysto, gdzieżeś się to wyuczył muzyki?

— Miałem od dziecka wielkie zamiłowanie do tej sztuki, a w końcu uczyłem się u znakomitego nauczyciela.

— Któż to taki, mój panie?

— Porpora, patryarcha harmonii.

— Ja?! Przecież nigdy nie udzielałem ci lekcyi.

— Nic to jednak nie przeszkadzało, abym je bez wiedzy pańskiej pobierał. Pamięta pan wydarzenie za firankami?

— A prawda; cóżeś tam robił?

— Uczyłem się; a owa lampa zapalona, przypomina pan sobie?

— Jakto, więc to ty?

— Tak, panie; przysłuchiwałem się i uczyłem zarazem.

I Porpora, który miał dziwne fantazye nie miewać nigdy uczniów nie mógł i teraz przezwyciężyć siebie: skrzywił się nieznacznie, lecz potem podał Józefowi rękę.

— Józefie, mój przyjacielu, w twoim koncercie bardzo mało brakuje do tego, aby był wzorowym utworem sztuki. Jestem przekonany, że za lat parę staniesz się wielkim artystą, prześcigniesz i zaćmisz Porporę, tego samego Porporę, który był twoim nauczycielem, sam o tem nie wiedząc.

Nie zawiodła Porporę nadzieja, jaką miał względem swego byłego służącego, bo owym służącym był w następstwie Józef Haydn twórca oratoryi „Stworzenie świata". Imię Hayd'na słynie w rzędzie sławnych artystów muzycznych XVIII stulecia.

M. Poh.

KONIEC.

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

II.

Podczas naszych wędrówek po ulicach Sewilli i zwiedzania licznych kościołów, byłem niejednokrotnie świadkiem praktyk religijnych jej ludności, która choć, jak mnie zapewniano, prawie utraciła wiarę, pozostała jednakże fanatyczną i nietolerancką. Święta kościelne bywają tu obchodzone z wielką wystawnością, w pośród nadzwyczajnego natłoku tak zwanych wiernych, ale w powszednie dni, kościoły stoją pustkami. Nadto wszędzie żywioł świecki łączy się z religijnym; na dowód dość przytoczyć tańce wykonywane w pewne dni przed ołtarzem katedralnym i ta profanacya świętego miejsca nie dziwi i nie gorszy tu nikogo.

Jednakże pod względem tolerancyi postęp jest widoczny. Przed kilku jeszcze laty prześladowano protestantów, dziś mogą mieszkać i ukazywać się wszędzie bez obawy ukamienowania. Mimo to najwięcej niby chełpiący się wolnomyślnością Hiszpanie, jeśli zacząć mówić z nimi o protestantach nie umieją ukryć instynktownej niechęci, fanatyzm zaszczepiony w krew ich od tylu wieków, kryje się w ich sercach równie wrzący jak dawniej, przeżył gorącą wiarę, która przynajmniej go tłomaczyła. Trzy najdawniejsze w mieście kościoły oddano ewangelikom, w jednym z nich odprawiają nabożeństwa po nad grobami członków Inkwizycyi, których nazwiska i dostojeństwa można przeczytać na kamiennych płytach posadzki kościoła.

W pobliżu tych kościołów grupują się szkoły w których mieści się po kilkaset dzieci obojej płci, dziwny to objaw przemawiający bardzo na korzyść ludności należącej do najciemniejszych w Europie. Zaledwie szkoła jakaś zostanie otwartą, wnet zapełniają ją dzieci należące do najniższych warstw społecznych. Biedni rodzice sami nic nie umieją, wyznają otwarcie, że nie mogą lub nie chcą uczyć się czegoś, ale czy to instynktem czy rozumem, dość iż przypuszczają, że nauka może przydać się na coś i nie wahają się ponosić ofiary, aby jej dobrodziejstwa zapewnić dzieciom. Ze swej znów strony, podniecana otrzymywanemi rezultatami municypalność, otwiera coraz więcej szkół i dzięki tej gorliwości, dziś już z wielkiem zgorszeniem niektórych strasznie zacofanych Hiszpanów, można spotykać po ulicach dzieci umiejące czytać.

Ludność tutejsza przedstawia ciekawą mieszaninę rozmaitych typów, która szczególniej w dzieciach się uwydatnia. Są typy andaluzyjskie, typy arabskie, różniące się rysami twarzy, a podobne do siebie bystrością spojrzenia i inteligentnym wyrazem fizyognomii. Najciekawsze są może typy cygańskie; jak wszyscy wogóle Andaluzyjczycy, cyganie odznaczają się wrodzonym dowcipem i trafnością odpowiedzi.

Podczas mego pobytu w Sewilli, pewne dziecko o mało się nie udusiło połknąwszy sztukę drobnej monety; matka krzyczała w niebogłosy przyzywa-

jąc pomocy. Wtem nadeszła cyganka, a dowiedziawszy się o co chodzi rzekła:

— Nie ma czego krzyczeć, wezwij tylko ministra skarbu, on niebawem dziecku wyciągnie pieniądz z gardła.

Był to przytyk do nałożonych właśnie nowych podatków; na szczęście, dziecię ocalało bez pomocy tak niezwyczajnej.

Wogóle pod nieokrzesaną powierzchownością, ukrywają się gorące namiętności i poczucie poetyczne zdolne do egzaltacyi. Słuchałem nieraz ich pieśni, tak na wybrzeżach Gwadalkwiru jak na wzgórzach Grenady, są one zazwyczaj smętne i w tonach nizkich. Przebija wyraźnie rytm arabski z jego dziwnie monotonną modulacyą; jest to jakby skarga, rodzaj rzewnego żalu, urywanego nagle, jakby raptem pękły wszystkie struny i instrument zamilkł. Słowa tchną niekiedy mistycyzmem, przypominają Tysiąc i jedna nocy.

W chwilach grożącego niebezpieczeństwa, dziewczę wyrzuca oblubieńcowi iż zapomina, że ma stanąć przed sądem Boga; ten odpowiada:

— I cóż mnie to może obchodzić? Nie mam duszy, bo oddałem ją tobie; do ciebie więc należy myśléć o tem, abyś się dobrze przedstawiła Bogu.

Ale nietylko w muzycy Andaluzya przechowała żywe tradycye przeszłości. Na pozór ściśle katolicka, zachowuje przecież bardzo wiele zwyczajów i instytucyi maurytańskiego pochodzenia. Możnaby pomyśléć że z dumą przypomina sobie blask jakim jaśniała niegdyś cywilizacya wypędzonych władzców i pod wielu względami zachowuje jej ślady. Niezaprzeczenie w każdym mieszkańcu półwyspu, można odszukać w gruncie coś z Araba i Maura, choć nie ręczę czy wychodzi to na korzyść poczucia moralnego. W każdym razie jest to ciekawe źródło dziwnych sprzeczności.

Wiadomo np. że teatr hiszpański nie stoi dziś tak świetnie jak przed dwoma wiekami. Jak Calderon i Lope de Vega, tak i większość tegoczesnych autorów, za oś dramatycznych utworów obierają punkt honoru, na południu istnieje on jeszcze ale we wszystkich zarówno klasach społecznych, żyje w doskonałej zgodzie z przedajnością, nie ukrywając się z nią wcale.

Pomiędzy ludem mówią bez ceremonii, że celnika można przekupić za dziesięć *pesetas*, sędziego za pięćdziesiąt, a ministra za dwieście. Ale jest to zapewne potwarz rozgłaszana przez złośliwe języki, zarówno jak owa odpowiedź jaką miał dać pewien zwierzchnik podwładnemu, uskarżającemu się na zbyt małą płacę.

— Jakto! miał powiedzieć, zajmując taką posadę, uskarżasz się na małe dochody? Widzę że musisz być bardzo ograniczony!

Na granicy, celnicy są bardzo pojednawczy; w Madrycie znowu, urzędnicy tak uprzejmi, iż dla dogodzenia lub przyjemności interesantów, nie wahają się zaniedbywać swych obowiązków, co zaś do sędziów, są jak owe ładne kobiety, zbyt dobre aby kogoś zasmucać odmową. Procesa tak znaczne pociągają koszta, iż choć kto ma najsłuszniejszą sprawę, woli dać coś odczepnego, niż wytaczać ją przed sądy. Nastręcza to wydrwigroszom pole do najrozmaitszych nadużyć i oszustw. Upominają się np. u osób bogatych lub choćby tylko zamożnych, o oddanie długów których nigdy nie zaciągano, a jeśli tylko nie stawiają żądań zbyt wygórowanych, napastowaną woli zapłacić niż narażać się na proces, zawsze bardzo kosztowny, choćby nawet w końcu mieli go wygrać.

Sprawy o napaść na osoby i własność, sądzone bywają mniej lub więcej surowo i pośpiesznie, a to odnośnie do temperamentu pana gubernatora. Często się zdarza, że bandyci schwytani np. na gorącym uczynku porwania i uprowadzenia kogoś z mieszkańców, bywają rozstrzelani natychmiast, bez śledztwa i wyroku. Fakt taki miał niedawno miejsce w okolicach Ronda; ujęto dziesięciu opryszków właśnie w chwili gdy zamierzali zmusić pewnego właściciela ziemskiego do całkiem nie pożądanej wędrówki w góry. Zaraz na miejscu zamierzonej zbrodni zostali powieszeni.

W Sewilli, więcej może jeszcze niż w innych miejscowościach Hiszpanii, mieszkańcy lubią łatwe i swobodne życie. Obecnie, gdy wojna domowa ustała, rzadko zdarzy się słyszéć wybitnie wypowiedziane zdania o religii i polityce; upewniano mnie jednak że w bogatem mieszczaństwie jest wielu głośnych stronników republikanizmu. Są to jednak republikanie arcy konserwatywni.

Wchodzimy na ulice Sierpes i Francos; są one wązkie i czyste, wyłożone białym marmurem, a przeznaczone wyłącznie dla pieszych przechodniów. Ulice te są jakby salony Sewilli, a piętno narodowości tak silnie tu odbite, iż cudzoziemiec ani na chwilkę nie może zapomnieć, że nie jest u siebie. Ciągle zmieniające się tłumy spacerujących wnosić każą iż jest to jedyne zajęcie mieszkańców. Trudno wystawić sobie wesołości i ożywienia panującego w tych salonach pod otwartem niebem. Na ich białych ścianach odbija się blask jasno oświetlonych wystaw sklepowych, zawsze otoczonych kupującymi, gdyż zazwyczaj sprawunki załatwiają tu wieczorem. Rozmowy są nadzwyczaj ożywione, ruchy szybkie, szczególniej u kobiet, spojrzenia bystre i pełne życia. Tu rozprawiają o wszystkiem, o polityce i miłosnych awanturkach, o ostatniej komedyi i nadchodzącej uroczystości religijnej, nakoniec o różnych drobnostkach i fraszkach z jakich składa się życie tego ludu, skłonniejszego do próżnowania niż pracy.

(*D. c. n.*)

NOWE WYDAWNICTWA.

Wyszła z druku książka pod tytułem *Badania porównawcze w dziedzinie języka*, przez L. Szczerbowicza-Wieczora, do nabycia w Warszawie w księgarniach Gebethnera i Wolffa i Maurycego Orgelbranda, w Płocku u autora. Cena z przesyłką rs. 1 kop. 50.

Elementarz Kazimierza Promyka na którym nauczysz się czytać w pięciu lub ośmiu tygodniach, wyszedł z druku w ośmnastem wydaniu, co jak u nas pierwszy raz zapewne ma miejsce. Tym sposobem rozeszło się go już 145,000 egzemplarzy. Jakże to wielce pocieszające!

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** „Hołd pruski” Matejki ściąga ciągle w Wiedniu liczne tłumy publiczności. Po odwiedzinach cesarza Franciszka który długo się przypatrywał obrazowi i tak pochlebny sąd wydał o nim, przybył na wystawę brat cesarza, arcyksiążę Karol Ludwik. Szczegóły „Hołdu” objaśniał arcykięciu p. Bogucki, twórca ślicznych ram obraz otaczających. Arcyksiążę z zachwyceniem przyglądał się utworowi krakowskiego mistrza, i powtórzył słowa cesarza „że jest to bez zaprzeczenia najlepsze jego dzieło.” Doprawdy nie wiem co więcej podziwiać, mówił dalej, czy niezrównaną poprawność rysunku, czy kompozycyą, czy też genialną charakterystykę osób, mistrzowską technikę wykonania lub też doskonałą znajoność historyi uwidocznione na obrazie. P. Bogucki zwrócił uwagę arcyksięcia że właśnie co do wierności historycznej, wiedeńska krytyka najniesłuszniejsze zarzuty poczyniła mistrzowi. „Najniesłuszniejsze, odrzekł prędko arcyksiążę, gdyż obraz jest wspaniałą epopeją historyczną przedmiotową i z wszelką godnością oddaną.” — „Nie koniec na tem, mości książe „Tagblat” zarzuca artyście chęć prowokacyi Niemców, malarstwo tendencyjne.” — To większa jeszcze niesłuszność, odpowiedział arcyksiążę, skoro artysta ograniczył się na przedstawieniu faktu historycznego i w najdrobniejszych nawet szczegółach zachował najściślejszą wierność i prawdę historyczną. Mogę pana zapewnić, że ta stronna i żółcią zaprawiona krytyka bardzo niemile dotknęła i mnie i cesarza, zwłaszcza, że co przy ocenianiu dzieła sztuki jest najzupełniej zbytecznem, wkroczyła w dziedzinę polityki i przy tej sposobności w ordynarny sposób postąpiła sobie z Polakami wogóle, a z mistrzem w szczególności. Polacy mają prawo być dumnymi z Matejki, nietylko jako genialnego malarza, ale zarazem jako ze znakomitego obywatela, który prawdziwie królewskim darem obdarzył starą siedzibę królów polskich. Niech pan jak najserdeczniej pozdrowi ode mnie Matejkę. Na wystawie arcyksiążę bawił przeszło godzinę.

Arcyksiążę Karol Ludwik jest znakomitym znawcą sztuk pięknych a szczególniej malarstwa, to też powyższe jego słowa i uznanie jakiego wielki mistrz doznał ze strony cesarza, dały się bardzo we znaki niemiecko-narodowym szowinistom wiedeńskiej prassy jakoteż zazdrośnej koteryi tamtejszych malarzy; — umilkli też po tej nauczce otrzymanej ze sfer dworskich, i zaprzestali wylewać na Polaków potoki żółci, za to że w roku 1525 *Kurfürst* pruski padł na kolana przed królem polskim. Jednak i ta część krytyków wiedeńskich, która tak stronniczo powstawała na „polityczną stronę obrazu” nie poważyła się jednak targnąć na artystyczne zalety płótna wielkiego mistrza — z tej strony „Hołd żadnej nie doznał nagany.

*** Dnia 20 października podpisano we Lwowie kontrakt między panną Lityńską i posłem Wernickim, o nabycie zamku Oleskiego za summę 15,000 guldenów, wskutku czego zamek ten, pamiątka po Janie Sobieskim, przechodzi na własność narodową. Po tem nabyciu ma się zaraz utworzyć komitet złożony: z Marszałka Zyblikiewicza, hr. Ludwika Wodzickiego, ks. Władysława Czartoryskiego, hr. Jana Zamoyskiego i Wernickiego, dla narady nad dalszem przeznaczeniem szacownego zabytku. O ile mówią, ma być przeznaczony dla weteranów zasłużonych w sprawie narodowej.

*** Czego też nie można dowiedzieć się z gazet pruskich? Oto co pisze semicko-postępowy „Berliner Tageblatt” z okoliczności trzechsetletniego jubileuszu kalendarza gregoryańskiego: „Jeśli my,

północni Niemcy, z wyjątkiem Szwedów, ostatni zaprowadziliśmy kalendarz gregoryański, możemy przecież być dumni z tego iż na podstawie badań *północno-niemieckich* uczonych, Mikołaja Kopernika z Torunia i Jana Müllera z Królewca, weszła w życie nowa rachuba czasu.” Łatwy sposób dorabiania się sławy i chluby z posiadanych znakomitych uczonych, fakta udowodnione, prawdy historyczne powszechnie uznane, wszystko to nie powstrzymuje Niemców od przywłaszczania sobie znakomitości obcej narodowości. Kto wie, może jak się zapędzą na tej drodze, dowiemy się że Lelewel był niemieckim historykiem, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński niemieckimi poetami. Wszak mówi przysłowie: tylko pierwszy krok jest trudny.

Ale tak już oswoiliśmy się z przeróżnemi pruskiemi sprawami, że już nas i nie dziwią prawie, ale co wprawia w *zdumienie* to uczciwe i szlachetnie bezstronne postąpienie niemieckiego magnata, hrabiego Hugona Henkel von Donnersmarck, właściciela rozległych dóbr i kopalń na Górnym Szlązku. Oto polecenie jakie wydał swemu rządzcy:

„Karlsburg, dnia 28 września 1882 r. Kochany panie Schröder! Zbliżają się wybory do pruskiej izby poselskiej; jak daleko sięgają moje posiadłości i wpływy, proszę chciej pan położyć koniec *wstrętnej tyranii wyborczej*, od lat tylu zakorzenionej na Górnym Szlązku. Moją jest wolą, aby i najuboższy robotnik używał najzupełniejszej swobody w oddawaniu głosu wyborczego, bez najlżejszego ztąd uszczerbku w zarobku lub zajmowanej posadzie. Z szacunkiem *hr. Hugon Henkel von Donnersmack*.” Ogłoszono więc wolę hrabiego w rozległych jego posiadłościach dla wiadomości wyborców, w języku niemieckim i polskim. Czy też w całem państwie niemieckiem znalazłby się choć jeden magnat tejże narodowości, równie bezstronny i prawy?

*** Dnia 16 października miało miejsce w Peszcie odsłonięcie pomnika Petöfiego, wobec ministrów, deputacyi sejmu i licznych tłumów złożonych ze wszelkich warstw ludności. Największy z poetów węgierskich przedstawiony jest w mundurze oficerskim, w jakim zginął pod Segeswarem, dnia 31 lipca 1849 roku. Przy odsłonięciu pomnika mieli mowy Jokai i burmistrz Pesztu, a następnie deklamowano i śpiewano. Szandor Petöfi urodził się w r. 1823 we wsi Felygyhaza; uczył się w szkole w Schemnitz, parę lat był huzarem w Oldenburgu, następnie nieosobliwym aktorem, zanim trafił na prawdziwe powołanie poety. Z początku utwory swe drukował pojedyńczo rozrzucone po pismach, nareszcie namówiono go aby wydał zbiór swoich poezyi i ten wyszedł w Peszcie po raz pierwszy w 1844 r. W ciągu czterech ostatnich lat życia, napisał wiele nowych poezyi. Wstąpiwszy do wojska w 1848 r., pisał piosnki wojenne i „Sozat”, który stał się hymnem narodowym. Węgrzy długo nie chcieli uwierzyć w śmierć ulubionego swego poety-bohatera; ponieważ nie znaleziono jego ciała pomimo najstaranniejszych poszukiwań, łudzono się więc, że raniony leczy się gdzieś w ukryciu, że ukrywa się w jakimś klasztorze lub wreszcie jęczy w austryackiej niewoli. Jeszcze parę lat temu, rozeszła się pogłoska o odszukaniu Petöfi'ego, ale naturalnie się nie sprawdziła. Kilka poematów jego przełożono na język polski, a *Wojak Janusz* dwukrotnie, przez panią Duchińską i Władysława Sobowskiego.

*** Szczęśliwa Islandya! tam dzieci od lat 7-miu umieją już doskonale pisać, czytać i rachować. Pomiędzy najbiedniejszymi rybakami nie znajdzie ani jednego, któryby nie posiadał elementarnego wykształcenia. W Islandyi nauczyciela zastępuje matka a dom szkołę. Pastor najbliższej parafii śledzi postępy dzieci, a leniwych i nie przygotowanych nie dopuściłby do konfirmacyi. Żadna matka nie przeżyłaby takiego wstydu, to też nigdy nie bywa wypadku, aby wykluczenie takie miało miejsce. Jeźli zapytać tam jakiebądź dziecko, kto je nauczył historyi, geografii i historyi naturalnej swego kraju, odpowie zawsze: „Modre min” (matka moja) a każdy 25-letni młodzieniec jest równie uległy i posłuszny, jak wówczas gdy się uczył sylabizować na kolanach matki. Nic więc dziwnego, że nie ma tam policyi ani więzień i nigdy prawie nie popełniają tam przestępstw ani kradzieży, a mieszkańcy odznaczają się wogóle uczciwością i czystością obyczajów.

*** Francuzki instytut meteorologiczny ma obchodzić w bieżącym miesiącu wielkim bankietem setną rocznicę wynalezienia balonów. W archiwach instytutu przechowane jest oryginalne sprawozdanie o wynalazku braci Stefana i Józefa Mongolfier'ów, którzy w listopadzie 1782 roku puścili pierwszy balon, w miejscowości Aunonoy departamencie Ardeche. Balon ów w kształcie gruszki, otwarty w cieńszym końcu, a sporządzony z bardzo lekkiej materyi, wzniósł się w górę rozgrzanem powietrzem i odtąd tego rodzaju balony zatrzymały nadaną im wówczas nazwę „Mongolfierek”. Dopiero paryzki profesor Charles, zaczął napełniać balony gazem wodorowym, znacznie lżejszym od mocno nawet rozgrzanego powietrza, przez co powiększył bardzo lotność balonów. Pierwszym który odbył podróż powietrzną balonem Mongolfierką, był Pilatre de Roziere, d. 21 listopada 1783 r., a w kilka dui po nim profesor Charles w towarzystwie swego służącego, przy pomocy balonu swojego systemu, który obejmował 500 metrów kubicznych wodoru. W kilka minut balon Charles'a wzbił się do wysokości tysiąca metrów, a we dwie godzin później opadł na ziemię w odległości pięciu mil od miejsca z którego został puszczony. Budowa balonów znaczne bardzo i nieustanne od tego czasu robiła postępy, tylko nadania dowolnego kierunku nie zdołano dotąd obmyśléć zupełnie zadawalniająco. Dziś jednak gdzie tyle zadziwiających wynalazków wyrasta jakby z pod ziemi, można mieć nadzieję, że i to zadanie rozwiązanem zostanie.

*** W Odessie istnieje od lat dwóch stowarzyszenie polskie p. t. Opieki nad ubogiemi dziewczętami” którego celem jest zaszczepianie w nich uczciwych zasad i szerzenie oświaty. Instytucya ta, która pomimo, iż byt jej chwilowo był zachwiany z powodu braku funduszu, powstała z upadku i pomyślnie się rozwija. W zeszłym miesiącu wynajęto dom, w którym codziennie wieczorem odbywają się wykłady religii i moralności, oraz nauka czytania, szycia i robót kobiecych.

*** W gubernii Ufimskiej, w Złotouście, znajduje się kościołek katolicki, na ktorego utrzymanie rząd wyznacza rocznie 750 rs. Pomimo to, dość liczna kolonia polska pozbawiona jest kapłana, gdyż nikt przyjechać tam nie chce. W ostatnim numerze „Gub. Wied.”, ogłoszono, iż jeźli nie zgłosi się w ciągu trzech miesięcy kapłan gotów pełnić tam posługę duchowną, kościołek oddany zostanie gminie luterskiej.

*** Wylewy, nietylko rzek większych i mniejszych ale wszystkich niemal kanałów straszne klęski spowodowały w górnych Włoszech; szkód coraz większych i nieobliczonych w następstwach, nawet w przybliżeniu obliczyć jeszcze niepodobna— ogólnie jednak utrzymują że wynoszą już dotąd przeszło sto milionów franków. Krocie ludności straciły odrazu nietylko wszystkie tegoroczne płony ziemi, ale owoc długoletnich prac, źródło dostatku, całą podstawę przemysłu i życia. Lombardya i weneckie okolice były dotąd najbogatszą, najbardziej kwitnącą częścią półwyspu — dziś wszystko tam zniszczone, zatopione obszerne włości, wspaniałe miasta podmyte wodą porwane rozwścieczonemi potokami, upadają jak pałace z kart, podobnie jak inne upadają u podnoża Wezuwiusza i Etny od trzęsienia ziemi lub giną od ognistych strumieni lawy. A jeszcze klęska ta, groźniejsza niegdyś, nigdy przecież nie była tak ogólną i rozległą; tegoczesna wiedza przewiduje i oznajmia wcześnie wybuchy wulkanów, a lawa płynie powoli w śmiertelnej swojej grozie, dozwalając uciekać z życiem, dobytkiem, ruchomościami przed śmiertelnym jej uściskiem. W obec pędzących gwałtownie spienionych fal — środki ratunku daleko trudniejsze, a często niemożebne. Nieograniczonem poświęcieniem i odwagą odznaczyło się wojsko włoskie przy ratunku nieszczęśliwych ofiar powodzi — każdy żołnierz narażał życie niosąc pomoc jej ofiarom. Król z własnej szkatuły przeznaczył dla dotkniętych powodzią 100,000 fr.; rząd oddał w tym celu prefektom 200,000 fr. do rozporządzenia, a ministrowi robót publicznych 500,000 fr. Nadto przeznaczono 1,200,000 fr. na naprawę grobli i na wynagrodzenia dla mieszkańców — ale suma ta okazała się niedostateczną na najbardziej nawet naglące roboty, i rząd zmuszony jest wyznaczyć daleko większą kwotę. Po całych Włoszech otwierają się dobrowolne składki, a we wszystkich większych miastach szereg widowisk i koncertów. Wszystko to jednak zaledwie zdoła ulżyć ale nie wyratuje od nędzy — na to długich lat i nieustannych ofiar potrzeba.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 19 Октября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 44, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

Gdy Bachelin wszedł do salonu, znajdujące się w nim kobiety zostawały jeszcze pod wpływem niewysłowionego wzruszenia. Klara zobaczywszy księcia pędzącego galopem do pałacu na spienionym koniu, stanęła jak otrętwiała. Chciała coś przemówić i nie była w stanie, wskazała tylko ręką przybywającego, a z ust jej wydobywały się jakieś niezrozumiałe dźwięki, przerywane nerwowym śmiechem. Można było sądzić że dostała obłąkania. Trudno byłoby opisać przerażenie margrabiny i baronowej; przybiegły do Klary która drżała konsulsyjnie, usta miała zupełnie białe. Obawiając się aby nie zemdlała, chciały przywołać kogoś, ale Klara powstrzymała je rozkazującym ruchem ręki, a następnie zebrawszy wszystkie siły zdołała wymówić przez zaciśnięte zęby:

— Nie trzeba... to przejdzie.

Usiadła. Zimny pot wystąpił na jej czoło. Margrabina zdjęła z siebie szal i otuliła nim trzęsącą się z zimna córkę, baronowa ocierała pot z jej czoła. Tak przebyły kilka minut w ciężkim niepokoju. Klara siedziała sztywna, nieruchoma, z głową spuszczoną na piersi, i tylko gorączkowy blask oczu wpatrujących się uporczywie w jakiś kwiat na dywanie, którego jednak nie zdawały się widzieć, dowodził że nie spała. Myśl jej pracowała z takiem natężeniem, że głęboka zmarszczka zarysowała się pomiędzy brwiami. Po kilku minutach krew napłynęła do jej twarzy; głębokie westchnienie ulżyło piersiom, i szybkim ruchem odrzuciła szal którym okryła ją matka.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi któremi Bachelin wchodził i spojrzała w tę stronę, a nie chcąc aby odgadł jej cierpienia, uśmiechnęła się do niego. Notaryusz wszedł widocznie zmięszany, stąpając na palcach jakby w pokoju chorego, i rzekł pochylając przed margrabiną głowę niżej jak zwykle, jak gdyby wstydził się oznajmić jej po co przyszedł:

— Niech pani margrabina zechce mi przebaczyć, ale to co zaszło jest czemś tak nadzwyczajnem...

— Wiem, odpowiedziała żywo pani de Beaulieu; książę przyjechał.

— I pomimo wszelkich przedstawień moich i barona, dodał notaryusz, pragnie koniecznie widzieć się z panią margrabiną.

— To już zbytnia śmiałość! zawołała margrabina, wstając z krzesła z niezwykłą sobie żywością i postępując ku drzwiom.

— Gdzie mama idzie? zapytała Klara.

— Każę aby mu pokazano drzwi, jak na to zasłużył, odpowiedziała pani de Beaulieu zarumieniona z oburzenia.

Klara milczała chwilę, jakby się wahała i namyślała nad czemś, a w końcu rzekła:

— Nie, mamo, nie można pokazać drzwi księciu de Bligny. Trzeba go przyjąć.

— Przyjąć! powtórzyła zdumiona margrabina, zadając sobie z przerażeniem pytanie czy córka jej nie straciła rozumu.

— Tak, i przyjąć go uprzejmie. Nie chciałabym za nic w świecie żeby wiedział jak cierpię nad tem że mnie opuścił. Panna de Beaulieu miałaby płakać za nim? Nie, byłby to zbyt wielki zaszczyt dla niego. Dla mnie zaś wszystko byłoby znośniejszem nad jego upokarzającą litość. Tak, przyjmij go, droga mamo... wszakże przyjęliśmy jego narzeczoną!

— Ale cóż zamierzasz uczynić? zapytała niespokojnie pani de Beaulieu.

— Zamierzam się zemścić! odpowiedziała Klara z wyrazem dzikiego gniewu.

Potem zwróciła się do pana Bachelin i dodała:

— Bądź pan łaskaw prosić księcia aby przeszedł na taras i zaczekał tam chwilę, a wprowadzić go tu dopiero gdy pana zawołam przez okno, ale przedewszystkiem zechciej tu przysłać pana Derblay.

Margrabina i baronowa zamieniły zadziwione spojrzenia; nie odgadywały zamiarów Klary. Bystrzejszy od nich Bachelin, domyślił się że jego plany urzeczywistnić się mają i oddalił się z młodzieńczą żywością. W parę minut później Filip wszedł do salonu.

— Czy mi pozwolisz, droga mamo, pomówić na osobności z panem Derblay? zapytała Klara.

Pani de Beaulieu i baronowa cofnęły się na drugi koniec salonu, i stojąc we framudze okna oczekiwały z pełną niepokoju ciekawością końca tej rozmowy. Filip widocznie wzruszony, domyślając się że nadeszła chwila stanowcza, mająca stanowić o całej jego przyszłości—o czem zresztą nadmienił mu naprędce notaryusz—stanął z pochylonem czołem przed tą którą uwielbiał.

— Panie, odezwała się Klara, przemawiając po raz pierwszy wprost do niego, nasz stary przyjaciel i doradca pan Bachelin, uwiadomił moją matkę że czynisz mi pan zaszczyt starania się o moją rękę.

Filip skłonił się potwierdzająco.

— Uważam pana za człowieka zacnego, mówiła dalej spokojnie panna de Beaulieu, sądzę więc że nie mógłby pan powziąść podobnego zamiaru, gdyby pan nie wiedział równie jak wszyscy mnie otaczający, i może już oddawna, że książę de Bligny zmienił swe uczucia dla mnie...

— Tak, pani, wiedziałem o tem, odpowiedział Filip drżącym i stłumionym głosem, i przysięgam, że nawet w tej chwili gdybym mógł zapewnić pani szczęście przywracając jej serce księcia, uczyniłbym to bez namysłu, choćby mi przyszło okupić to życiem.

— Dziękuję panu, ale pomiędzy mną i księciem de Bligny wszystko zerwane na zawsze. Nie mogę panu dać na to pewniejszego dowodu nad to oświadczenie, że jeżli pan nie zmienił swych zamiarów, gotowa jestem oddać mu rękę.

Panna de Beaulieu wymówiła ostatnie słowa tak cicho, że Filip prędzej odgadł je niż dosłyszał. Stanęły mu natychmiast słowa siostry, które śmiejąc się wyrzekła pewnego dnia, widząc go smutnym i zniechęconym:

— Zobaczysz, że ona sama cię poprosi abyś się z nią ożenił.

Tak więc przepowiednia Zuzanny spełniła się dokładnie; przywiązanie do brata natchnęło ją proroczym duchem. Nie było to marzeniem tylko, ale błogą rzeczywistością: Klara sama oddała mu rękę. Wielka, nieograniczona radość napełniła serce Filipa; ujął tę śliczną rękę której nie miał już nadziei zatrzymać kiedyś w swojej, i złożył na zimnych jak lód paluszkach, najlękliwszy i najrozkoszniejszy pocałunek.

— Mam jeszcze prośbę do pana, odezwała się znów Klara. Zechciej pan uczynić wszystko co będzie trzeba, aby sądzono że już kilka dni temu zamieniliśmy słowo. Nie potrzebuję panu mówić że powodem tego żądania jest duma moja. Nie może pan łudzić się, niestety! co do stanu mego serca, ale mogę pana zapewnić że będę wierną i uczciwą żoną. Zechciej pan teraz oddalić się, ale nie odchodź daleko, może mi będziesz potrzebnym.

Filip odszedł, a Klara skinęła na pana Bachelin, aby przyprowadził księcia.

Notaryusz umiał tak zręcznie zatrzymać księcia przez cały czas rozmowy panny de Beaulieu z Filipem, że wtenczas dopiero wprowadził go na taras, gdy pan Derblay promieniejący radością, wychodził z salonu.

Moulinet i Atenais osłupieli z zadziwienia widząc wchodzącego Gastona. Napoleon oczekujący Grouchy'ego a spostrzegający awangardy Blücher'a, nie doznał silniejszego wstrząśnienia, jak w tej chwili córka byłego fabrykanta czekolady i byłego sędziego trybunału handlowego, gdyż nie mogło zajść nic więcej zagrażającego jej kombinacyom, jak nieprzewidziane przybycie księcia w tej właśnie chwili. Niewysłowiony niepokój i trwoga ogarnęły Atenais — miałażby ponieść straszną i tak upokarzającą porażkę i to właśnie w chwili gdy tak była pewną zwycięztwa?... Jakie będzie następstwo tego spotkania się Gastona z Klarą? Czy położenie tak już było naprężonem że pojednanie jest niemożebnem? lub może jednem spojrzeniem narzeczeni odzyskają się wzajemnie i w gorącym uścisku nieodwołalne zamienią przysięgi?

Moulinet także bardzo się zadziwił, nie robił jednak takich przypuszczeń jak przewidujący umysł jego córeczki. Nie zrozumiał dla czego książę nie zatrzymał się w la Varenne oczekując ich powrotu, nie podejrzywał co go sprowadzało do Beaulieu. Podszedł ku przyszłemu zięciowi ze słodziutkim uśmiechem, wyciągając rękę na powitanie, i osłupiał pod spojrzeniem jakiem orzucił go Gaston mijając go, i nie ukłoniwszy się nawet Atenais. Poszedł jednak za księciem zwracającym się ku salonowi.

Margrabina i baronowa w jednej chwili przygotowały przedstawienie, i gdy książę wszedł do salonu zastał ciotkę rozpartą jak zwykle w swoim fotelu. Baronowa stała przed kominkiem, z założonemi rękami, aby czasem nie zachciało się księciu podać jej swojej, jak zawsze się witali. Klara siedziała między matką i baronową, plecami odwrócona do światła, aby trudniej było dojrzeć zmianę zaszłą w jej twarzy. Gaston zobaczył najpierw śliczne złote włosy Klary — zadrżał i gwałtownem przejęty wzruszeniem chciał pobiedz i rzucić się do nóg tej którą tak kochał jeszcze, nie zastanawiając się jakie mogą wyniknąć następstwa z tego ujawnienia

jego miłości. Powstrzymało go spokojne ale zarazem surowe spojrzenie margrabiny. Schylił z poszanowaniem głowę przed tą co mu zastąpiła miejsce matki.

— Pani, margrabino... ciotko kochana.. rzekł przerywanym głosem... Widzisz moje pomieszanie... żal... zmartwienie! Przybywszy do la Varenne, do pana... Wstydził się wymówić nazwisko Moulinet'a... dowiedziałem się o jego postąpieniu, którego dość potępić nie można...

— Ależ, książę... przerwał były sędzia trybunału handlowego, widocznie dotknięty.

Wtedy książę zwrócił się do przyszłego teścia, mówiąc wyniośle:

— Tak panie, jest to grubiaństwo niczem wytłómaczyć się nie dające, i chcę oznajmić głośno że żadnego nie miałem w niem udziału... Mogłem zawinić, wielu dopuścić się błędów, postępować lekkomyślnie i zgrzeszyć niewdzięcznością — ale przysięgam na honor że niczem nie upoważniłem postępku tak ubliżającego mojej rodzinie!

— Ależ przecie cóż tak strasznego się stało — wszak to tylko wizyta jaką sama grzeczność mi nakazywała, wyjąkał Moulinet zmieszany tak energicznem zgromieniem, nie rozumiem co książę...

— Nie rozumiesz pan! przerwał mu książę z niewysłowioną pogardą, to też to tylko cię tłomaczy.

Ale Moulinet zanadto był próżny i zarozumiały aby miał długo znosić łajanie choćby człowieka którego tak wysoce cenił z powodu jego pochodzenia z arystokratycznego rodu, przybrał więc dumną minę, i rzekł kłaniając się poważnie:

— Jeźli zawiniłem, proszę cię mój zięciu powiedz w czem mianowicie leży moja wina, abym ją mógł naprawić.

Ale powiedzieniem „mój zięciu" do wściekłości rozgniewał księcia, który przestając panować nad sobą, przerwał stanowczo mowę byłemu sędziemu trybunału handlowego, dwoma słowami: „Dość tego!" tak gwałtownemi jakby go po twarzy uderzył szpicrutą. To powiedziawszy, pierwszy raz od chwili wejścia odważył się spojrzéć na Klarę, która siedziała nieruchoma.

— Ciotko, zawołał, pozwól mi wytłomaczyć się przed tobą... Klaro, nie wyjdę ztąd dopóki mi nie przebaczysz.

Usłyszawszy te słowa osobiście do niej zwrócone, na które zdawała się oczekiwać, panna de Beaulieu powstała dumna i wyniosła i spojrzawszy na byłego narzeczonego, rzekła z niezachwianym spokojem:

— Ależ książe ani tłómaczyć się ani przebaczenia prosić nie potrzebujesz. Powiedziano mi że żenisz się z *córką pana* — i w tych dwóch słowach umiała zamieścić nieprzebrane źródło inpertynencyi — a sądzę masz przecież do tego najzupełniejsze prawo—wszak zarówno jak ja — jesteś wolnym i możesz rozrządzać sobą.

Słuchając słów tych, książę potarł ręką czoło, jakby dla przekonania się czy nie jest to senne majaczenie. Spoglądał z kolei na Klarę, na baronową, na margrabinę, i zdawało mu się że oblicza ich nie zdradzają ani wzruszenia, ani smutku, ani gniewu. Lękał się że przyjdzie mu pocieszać i łzy ocierać, a tu widzi same uśmiechy. Czy podobna aby przez ten rok, który skutkiem życia jakie prowadził tak zgubnym stał się dla niego, panna de Beaulieu tak zmieniła się dla niego?...

— Narzeczona pana, przybyła tu zwiastować mi tę miłą wiadomość, mówiła dalej Klara — doskonale! pragnę też odpłacić się panu wzajemnością.

I postąpiwszy ku tarasowi skinęła na Filipa, który natychmiast udał się do salonu. Pożerana ciekawością, Atenais pobiegła za nim, i niebawem wszyscy goście pałacowi znaleźli się w salonie.

— Chcę przedstawić panów sobie wzajemnie, mówiła Klara z przerażająco zimną krwią; i wskazując Filipowi księcia, rzekła: kuzyn mój, książe de Bligny. Następnie zwracając się do Gastona dodała z brawującem spojrzeniem: Pan Derblay, mój narzeczony!...

Gdyby nagle piorun uderzył w pałac, nie wywołałby tak silnego wstrząśnienia jak to jakie uczuli wszyscy widzowie tej sceny. Książę zachwiał się zgnębiony. Atenais uczuła zawrót głowy, rumiana jej twarz posiniała. Baron i baronowa zamienili z sobą spojrzenie wyrażające niesłychane zdumienie—sam tylko Bachelin i Zuzanna słuchali spokojnie. Notaryusz z powodu że pracował w cichości aby takie sprowadzić rozwiązanie; Zuzanna dla tego iż tak ubóstwiała brata że uważając go za ideał doskonałości, nie zwątpiła ani na chwilę iż nareszcie panna de Beaulieu musi poznać i uznać wielkie jego przymioty i cnoty.

Nareszcie książę dał dowód że nie daremnie służył w dyplomacyi; prędko odzyskał przytomność i przybierając spokojną minę, rzekł do pana Derblay z uprzejmym uśmiechem:

— Przyjm pan najgorętsze moje powinszowanie, mówił prawie nie drżącym głosem: zaślubiasz pan kobietę której mało który z nas może być godnym.

Jakkolwiek przygnębiona piorunującem wet za wet oddanem jej przez pannę de Beaulieu, Atenais zrozumiała że należy nadrobić minę. Zbliżyła się do Klary i bacznie się w nią wpatrując, rzekła:

— Najszczersze powinszowania, a pochylając się dodała ze zdradzieckim uśmiechem: Więc jest to małżeństwo z miłości?

Klara drgnęła — w tej chwili dopiero pojęła całą okropność swego położenia. Ten którego tak bezgraniczną ukochała miłością, stał przed nią, i za chwilę miał odjechać z jej rywalką. To nieprzewidziane oznajmienie ukoiło gniew Gastona, zbliżył się do Atenais i zaczął z nią rozmawiać ujawszy końce jej paluszków, ze swobodą najszczęśliwszego człowieka. A ona!... ona uniesiona nieposkromioną pychą, rozporządziła bezmyślnie swoją wolnością i życiem. Przyrzekła rękę swoją człowiekowi którego kochać nie mogła, gdyż serce jej przepełnione było drogiem i bolesnem uczuciem dla innego. Rzuciła na księcia spojrzenie zdradzające śmiertelną trwogę; o mało nie pobiegła aby go wyzwolić od rażącej zalotności Atenais i szczerą wyznać prawdę. Ale widziała go tak płochym, swobodnym i obojętnym, że obudzony znowu gniew i duma, ocaliły ją od tej słabości. Pomimo całej rozpaczy nie chciała uchodzić za porzuconą; zadowolnieniu miłości własnej poświęciła całą przyszłość, i orzucając księcia de Bligny i pannę Moulinet tryumfującem spojrzeniem, wyszeptała:

— Pójdę pierwej za mąż niż oni się pobiorą!

IX.

Przygotowania do ślubu odbywały się z niepojętym pośpiechem; zdawało się że wszyscy mieszkańcy Beaulieu i Pont-Avesnes, byli w zmowie z Klarą. Filip wyjechał nagle do Berry, dla wyjęcia potrzebnych papierów, a jednocześnie młody margrabia udał się do Paryża. Poczta i telegrafy współubiegały się w przypominaniu pośpiechu dostawcom. Krętanina i ciągłe uwijanie się zastąpiły ciszę w jakiej margrabina od roku już pędziła życie; oszołomiona wypadkami, dobra ta i łagodna kobieta przyjęła nieprzewidziane postanowienie córki, nie mogąc się zdobyć na rozważne zastanowienie się nad niem.

Bachelin z tak dobrej strony przedstawił jej pana Derblay, wykazał tak wielkie jego zalety i przymioty, sama ceniła wysoko szlachetną jego bezinteresowność, iż związek ten więcej ją dziwił niż niepokoił. Żałowała wprawdzie że Klara nie chciała czekać aby wybrać męża ze swego świata, ale jednocześnie stawiała sobie pytanie: czy w tym pozytywnym wieku ktoś mający za sobą nazwisko i majątek, chciałby żenić się z panną de Beaulieu, pozbawioną posagu? Odpowiedź wydała jej się tak co najmniej wątpliwą, iż nareszcie poznanie pana Derblay w tak krytycznej właśnie chwili, uważała sobie za traf nader szczęśliwy.

Klara czyniła co tylko było w jej mocy aby uśpić czujność i najzupełniej uspokoić matkę. Twarz jej promieniejąca zadowolnieniem czyniła wszystkim złudzenie szczęścia — jedna tylko baronowa wtajemniczona była w jej żale i udręczenia. Bywała świadkiem wybuchów jej rozpaczy i gniewu, starała się uspokajać i pocieszać. Klara całe godziny przesiadywała zamknięta w swoim pokoju, niema, zrozpaczona, zgnębiona fizycznie i moralnie, często tak osłabiona że kroku postąpić nie mogła; wtedy bezsilna rzucała się na kozetkę, z ponurym wzrokiem, ze zmarszczonem czołem. W jej zbolałym mózgu odtwarzały się nieustannie krwawe epizody rozstania — nie mogła się oswoić z tak nagłem runięciem wszystkich swoich nadziei. Przemyśliwała nad tem czem mogła zasłużyć na tak wielkie nieszczęście — i nie widziała coby zarzucić sobie mogła. Nie, ona nie zawiniła niczem — wszystko to jest wynikiem nienawiści jej rywalki i nikczemności jej narzeczonego.

Tak więc będąc zmuszoną uważać się za ofiarę zaciętych wrogów, za męczennicę nieubłaganego przeznaczenia, Klara zaczęła niekiedy dopuszczać myśl odwetu. Życie przedstawiało jej się jako walka, w której należało uzbroić się pogardą aby nie odnieść rany, przywdziać pancerz śmiałości posuniętej do zuchwalstwa—aby zwyciężyć. Odrzuciła wszelkie skrupuły, które wydały ją skrępowaną i bezbronną na łup przeciwników—i przysięgła sobie że nie cofnie się przed niczem byle dojść do zamierzonego celu. Serce jej zgorzkło, umysł się zaciemnił; stała się złośliwą i bezlitosną. A tak nic nie pozostało ze szlachetnej i tkliwej Klary; zamieniła się w istotę nieubłaganą interesowną i samolubną, gotową poświęcić wszystko dla kaprysu lub fantazyi. Widać ogień boleści i rozpaczy spalił i wysuszył je serce. Sama nawet jej piękność inaczej się teraz przedstawiała; wydawała się jakby marmurową, przybrała majestatyczność i zimno posągu.

Rozważając bliską zmianę swego położenia, nakreśliła sobie plan postępowania, postanawiając ani na jedną linię od niego nie zboczyć. Pan Derblay był jej jak najzupełniej obojętny — nie poczuwała się do najmniejszej wdzięczności za bezgraniczne jego do niej przywiązanie. Nie znając szlachetnych pobudek kierujących Filipem, wszelkie jego ustępstwa przypisywała jedynie żądzy poślubienia panny tak bogatej, a nadto połączenia się z tak znakomitą rodziną. W takich warunkach musiał przystać na wszystko. Myślała nawet z pogardą o łatwości z jaką pan Derblay zgodził się na pomaganie jej do upokarzającej komedyi jaką odegrała przed księciem a tak godną uwielbienia szlachetność Filipa, poczytała mu za nikczemność. I mówiła sobie że znajdzie w nim męża dogodnego i dozwalającego kierować sobą z łatwością — a tego właśnie chciała. Jeźli pan Derblay będzie ule-

głym i posłusznym, wtedy zajmie się jego przyszłością, i za pomocą wysokich stosunków i wpływów jakiemi tylko będzie mogła rozporządzać, potrafi wysokie wyrobić mu stanowisko, zdolne wynagrodzić nizkie jego urodzenie. A zresztą, myślała, żyjemy przecież w wieku dorobkiewiczów!...

Młoda baronowa, zaniepokojona przerażającym spokojem z jakim kuzynka jej oczekiwała związku którego pewnie nie zawierała z wielką chęcią, szczerze starała się przeniknąć myśli i zamiary Klary. Zaczęła więc wybadywać ją, zadawać najprzeróżniejsze pytania, prowadzić rozmowy w rozmaitych przedmiotach, ukrywając ich ważność pod zwykłą sobie lekką i fantastyczną formą.

Daremnie Klara siliła się na udawanie obojętności, wbrew woli gorycz przedzierała się przez jej usta. Dała poznać baronowej straszną krwawiącą ją ranę i to zwierzenie przyniosło jej niejaką ulgę. Tak więc baronowa poznała katusze dręczące nieszczęsną dziewczynę, mogła podziwiać jej odwagę a zarazem odgadywać poniekąd jej postanowienia. Dzięki doświadczeniu jakiego nabyła w ciągu trzechletniego pożycia z mężem, zrozumiała całą ważność postępowania i zamiarów panny de Beaulieu, i próbowała dać jej poznać groźne następstwa jakie za sobą pociągnąć mogą — ale wszelkie jej przedstawienia rozbijały się o niezłomną wolę Klary.

Nie ukrywała iż postanowiła korzystać szeroko z prawa odwetu. Ona cierpi przez innych, inni cierpieć będą przez nią — tem gorzej jeźli będą niewinni — wszak ona także nie zawiniła niczem. Skoro zasadą ludzkości jest niesprawiedliwość, nie myśli zważać na żadne prawa i obowiązki, wszystko będzie poświęcać dla swej fantazyi. Osoby mają być dla niej środkami działania; ma niezłomne postanowienie przesuwać kobietami i mężczyznami jak pionami po szachownicy, aby tylko świetną wygrać partyę. Celem jej życia będzie: zemścić się nad Atenais i upokorzyć księcia — i nie zawaha się poświęcić wszystko dla tego opłakanego zadowolnienia. Pierwszą ofiarą będzie zakochany i tak szlachetny Filip, który o tem tylko myślał aby tej którą kochał i uwielbiał, wrócić utracony spokój i szczęście.

Pani de Préfont potępiała surowo te despotyczne zachcianki i zamiary. Ten dziwny bezład w pojęciu sprawiedliwości i niesprawiedliwości, tak zimno traktowanych przez pannę de Beaulieu na korzyść swego egoizmu, wydał się baronowej tak niedorzecznym, iż kładła go na karb chwilowego uniesienia, które ochłonie z czasem.

Jednakże dała Klarze do zrozumienia: że tyranizowanie istot myślących i działających nie jest tak łatwem jak jej się zdaje. Zapewnie że mogło to pochlebiać panu Derblay iż wchodzi do znakomitej rodziny, i niewątpliwie nie zawahałby się przed wielu ofiarami, byle zostać mężem Klary. Ona oddawała mu rękę w zamian za przysługę jaką jej oddał, dozwalając upokorzyć nieprzyjaciół, właśnie w chwili gdy oni uważali ją za pokonaną i upokorzoną. To dobrze; lecz jakąż przyszłość gotowała temu człowiekowi? Co zrobi Filip, gdy przychodząc do żony z otwartemi rękami, ze słowami gorącego uczucia — znajdzie ją ponurą i zimną? Panna de Beaulieu utrzymuje że właściciel kuźnic jedynie przez pychę pragnie pojąć ją za żonę — ale czyż nie można mniemać, że jedynie miłość skłania go do tego? Zapewnie, trudno zaprzeczyć że obecnie spekulacya i wyrachowanie główną rolę przy zawieraniu małżeństw odgrywają rolę, że pretendenci bardzo troskliwie dopytują się o wysokość posagu, lecz przecież są jeszcze ludzie żeniący się z miłości, i dla czegóż pan Derblay nie miałby być jednym z tych fenixów?...

Baronowa starała się przekonać Klarę że zbyt jednostronnie zapatrywała się na małżeństwo. Kobieta rzadko bardzo jest w niem wszechwładną, kiedy przeciwnie mężowie mają z natury skłonność do przewodzenia i panowania. A jeźliby też pan Derblay, który, o ile się zdaje, wie czego chce i umie chcieć, zbuntował się i obalił wszelkie plany usnute przez Klarę — cóżby wynikło z tego starcia się dwóch woli?... Wszak nie chodzi tu o stosunek kilkogodzinny, jakie zawierają się po za wachlarzem dla przeprowadzenia lub zniweczenia jakiejś salonowej intrygi — tu całe życie stawia się na kartę, i niepodobna rozstać się ze swoim pomocnikiem, dając mu za całą nagrodę za udzieloną pomoc, końce białych paluszków do pocałowania. Tym razem ów pomocnik będzie mężem z którym połączą ją nierozerwalne węzły. Trzeba, póki czas jeszcze, głęboko zastanowić się nad tem. Po ślubie już cofnąć się nie będzie można; nie będzie to już komedya łatwa do rozwiązania; należy baczyć na to aby nie zamieniła się w dramat. Może więc lepiej by cofnąć się, dopokąd jest to jeszcze możebnem.

Wszystkie te rozumowania żadnego nie wywarły wpływu na pannę de Beaulieu; wolała narazić się na wszystko niż zmienić swoje zamiary. Chciała aby się zdawało że ona zerwała z księciem i postanowiła wyjść za mąż pierwej niż on się ożeni; dzień ślubu był wyznaczony—nie cofnie się za nic w świecie. Zmiarkowała jak była nieprzezorną wyjawiając baronowej najskrytsze swoje myśli, i uznała stosownem wywieźć ją w pole: Siłą woli rozpogodziła czoło, zmusiła się do uśmiechu i żartobliwie zaczęła użalać się nad panem Derblay, skazanym na tak smutną dolę iż ma ją poślubić, a związek ten nie zapewnia mu korzyści, mogących wynagrodzić kapryśne i nieco tyrańskie usposobienie żony.

Baronowa wpadła w sidła zastawione przez kuzynkę; spodziewała się że przyszłość zdoła rozproszyć posępny smutek i uspokoić rozdrażnienie Klary. Pomyślała sobie w duchu że małżeństwo tyle niespodzianek gotuje młodej dziewczynie, iż najsamowolniejsza musi się opamiętać i uspokoić. A cóż dopiero gdy dziecię ożywi domowe ognisko! wtedy położenie zmienia się najzupełniej, tygrysica zmienia się w tkliwą i łagodną owieczkę.

Myśli te uspokoiły baronową. Zresztą nie umiała zbyt długo myśleć o jednej rzeczy: cały dzień była poważną i przenikliwą, musiała więc śmiać się i trzpiotać przez pozostałe dni tygodnia.

Filip powrócił i przywiózł narzeczonej pierścionek zaręczynowy — z przepysznym rubinem otoczonym brylantami; biedny drżącym głosem prosił panny de Beaulieu aby raczyła mu pozwolić włożyć go jej na palec. Klara spojrzała pogardliwie na książęcy ten klejnot. Z dumną obojętnością wyciągnęła białą rączkę, nie dziękując ani jednem słówkiem. Pierścień ten, symbol jej zobowiązania, wstrętnym był dla niej. Nazajutrz Filip spostrzegł że nie miała go na palcu — nie śmiał nic powiedzieć, ale serce ścisnęło mu się boleśnie. W obec niej tak był nieśmiałym! ale wzrok jego wlepiony w rękę panny de Beaulieu tak był wymownym, iż nie mogła nie powiedzieć mu: „Daruj pan, ale nigdy żadnych nie noszę pierścionków.”

Te słowa uspokoiły Filipa; to zdjęcie zaręczynowego pierscionka, uważał za objaw wstrętu panny de Beaulieu do ofiarowanego przez niego upominku. Widział jakie były jej uczucia; zrozumiał dobrze iż przechodziła ową kryzys przewidzianą przez Bachelina, i że tylko skutkiem oburzenia przeciw księciu, przyjęła jego oświadczenie. Ale tak wiele liczył na swą bezgraniczną miłość i tkliwe starania jakiemi ją otoczy, iż wierzył że zdoła pozyskać jej biedne zbłąkanie serce. Jakaż kobieta mogłaby pozostać nieczułą na uczucie tkliwe, gorące, gotowe do poświęceń, okazywane jej w każdej chwili? Zawiedziona w swych uczuciach, panna de Beaulieu zamknęła się w sobie, ale ma lat dwadzieścia, niepodobna więc aby serce jej na zawsze pozostało zamkniętem. Możnaż przypuszczać aby w kwiecie młodości chciała pozostać obojętną i zlodowaciałą? zamknąć uszy na wszelkie głosy wzywające ją do życia, zasłonić oczy aby nie widziały żadnych uśmiechów nadziei? Sam zakochany szalenie, Filip, nie wątpił że zdoła pozyskać miłość Klary; ona mniemała że serce jej zamarło, ale ono tylko się zdrzemnęło, rozcuci się powoli i bić zacznie. A dla kogóżby biło jeźli nie dla tego co je przebudził z letargu? Wszak ocaliwszy tę biedną znękaną duszę, Filip nabył praw do niej? a tak przywrócona do życia Klara, gdy zasłona spadnie z jej oczu i zobaczy różnicę zachodzącą między utraconem a pozyskanem uczuciem, to wyzwolenie swoje odpłaci Filipowi szczęściem całego życia.

Tak myślał Filip milcząco wpatrując się w Klarę. Od lat młodocianych przygnieciony nawałem nader ciężkich i trudnych do przeprowadzenia interesów, nie miał czasu bywać w świecie i ztąd pozostał bardzo nieśmiałym, szczególniej w obec kobiet. Drżał patrząc na pannę de Beaulieu; serce biło mu gwałtownie ilekroć zbliżył się do niej. Dość było żeby ta zimna i poważna Klara zwróciła na niego swe spokojne wejrzenie, aby się zmieszał i niemal oniemiał.

Idąc z Zuzanną do Beaulieu, Filip opowiadał jej swoje na przyszłość zamiary. Mówił o zmianach jakie zamyślał wprowadzić w urządzeniu pałacu, mówił jak bezgraniczną miłością kocha swoją narzeczoną; Zuzanna słuchała go z ożywioną i zarumienioną twarzyczką, z błyszczącemi oczami, z uśmiechem na ustach. Zrozumiała że jest to jakby lekcya, że mówiąc do niej chciał wprawić się w to co zamierzał powiedzieć Klarze; a gdy zwrócił się do niej, pytając: „No, cóż?” odpowiadała ze złośliwą minką:

— Ależ, braciszku, nie mnie ale jej trzeba powiedzieć to wszystko... Co do mnie, wiesz że zawsze podzielam twoje zdanie, że dla mnie co tylko powiesz jest mądrem, co tylko zrobisz, dobrem. Ale panna de Beaulieu...

— To też dziś zaraz mówić z nią będę! zawołał z postanowieniem... A! tyle mam jej do powiedzenia...

Lecz gdy tylko przybył do pałacu i ujrzał Klarę, opuszczała go przedchwilowa śmiałość, zaledwie wyszeptał dzień dobry. I zrozpaczony tą nieśmiałością swoją, siadał w kąciku, ubolewając że choćby cudem nie może otworzyć serca jakby szkatułki na klejnoty, aby wykazać ubóstwianej dziewicy, wszystkie ukryte w niem uczuć skarby.

Z początkiem listopada nastały zimna, nie można już było gromadkami siadać na tarasie, goście pałacowi zbierali się w wielkim salonie. Tu, w ściślejszem kółku, Filip miewał sposobność korzystnie przedstawiać się w rozmowie — nie o uczuciach swoich, bo ani o nich ani o sobie nie mówił nigdy— ale o kwestyach ogólnych, w czem zręcznie dopomagał mu baron i Oktawiusz; w takich razach mógł wykazać trafność i dojrzałość swego sądu i gruntowną wiedzę. Klara siedząc przy matce, zwiniętej w kłębek w swoim fotelu przed kominkiem, nie odrywała oczu od jakiejś trzymanej w ręku robótki. Przez otwarte drzwi do bilardowej sali, dochodziły głośne wybuchy śmiechu Zuzanny i młodego mar-

grabiego, z gorącem zamiłowaniem grających w kroketa. Oni jedni nieco życia dodawali zebraniu; od pierwszego poznania polubili się i jak dzieci bawili razem.

Atenais, nie posiadająca się ze złości że zawiodły ją tak zdradziecko uknute plany, namówiła ojca i księcia do powrotu do Paryża. Przed odjazdem Moulinet przybył z pożegnalną wizytą, do Beaulieu gdzie grzecznie został przyjęty. Na prośbę Klary, margrabina rozmarszczyła czoło i przywitała uprzejmie byłego sędziego trybunału handlowego, jak do tego miał prawo przyszły teść ukochanego siostrzeńca.

Tak więc nawet margrabina zgodziła się na odgrywanie komedyi ułożonej przez obrażoną córkę, a Moulinet i książę de Bligny musieli uwierzyć głośnemu oznajmieniu panny de Beaulieu: iż bynajmniej nie czuje się urażoną. Książę dziwił się niepomiernie że jest tak nic niewinnym, kiedy sam sądził iż bardzo zawinił. Atenais podziwiała moc duszy swej rywalki; pragnęła tryumfować a została zwyciężoną—to też przyrzekła sobie iż strasznie zemścić się musi.

Z początku miała zamiar aby ślub jej odbył się z wielkim przepychem, w pałacu la Varenne, we wspaniałej pałacowej kaplicy, obecnie postanowiła że odbędzie się w Paryżu. Zrozumiała że miejskie zaproszone przez ojca towarzystwo nie pojedzie na prowincyę dla figurowania w jej ślubnym orszaku, a obawiała się że arystokratyczne rodziny z okolicy mogą bardzo nie przyjąć zaproszeń księcia—nie chciała więc narażać się na zawód. Przyrzekła jednak przyjechać na ślub swej przyszłej kuzynki „tej dobrej Klary" jak nazywała pannę de Beaulieu.

Odjazd jej wielką ulgę sprawił Klarze — zdawało się jej że z oddaleniem się jej rywalki, powietrze nawet stało się lżejszem i czystszem. Piękną jej twarz rozjaśnił jakby promyk radości. Filip nic nie mówiąc sprowadził robotników i kazał odnowić nieco zaniedbane apartamenta w pałacu Pont-Avesnes, i korzystając z tej chwili lepszego usposobienia, prosił pani de Beaulieu aby raczyła zwiedzić przyszłą siedzibę swej córki. Margrabina zgodziła się na to, i nazajutrz całe towarzystwo z Beaulieu udało się do Pont-Avesnes.

Pałac i dziedziniec z pierwszego zaraz wejrzenia nader korzystne wywarł wrażenie. Podobały się Klarze wielkie stare lipy zdobiące dziedziniec, woda, fontanna, pałac otoczony fosami wysadzonemi owocowemi drzewami. Wielkie, zaciszone i ocienione aleje parku, nadawały się do samotnych rozmyślań, a poważny smutek wielkich apartamentów, odpowiadał jej usposobieniu. Komuś innemu ten pałac przyćmiony cieniem wielkich otaczających go drzew, wydałby się bardzo ponurym, pannie de Beaulieu przeciwnie podobał się bardzo.

Baronowa przebiegła wszystkie salony z okrzykami radości i podziwu, przyglądając się bogactwom i starożytnościom nagromadzonym przez ojca Filipa. Unosiła się nad meblami z czasów Ludwika XIV pokrytych przepysznemi obiciami; przypatrywała się z zachwycenie elniowym portyerom, przedstawia, ksandra Wielkiego.

Tak dziś rozpowszechnione ...miłowanie w starożytnościach, a więcej może moda, każdą szanującą się osobę zamieniło w rodzaj przysięgłego biegłego. Baronowa nie opuszczała podobnych licytacyi, i można było podziwiać z jaką znajomością rzeczy oceniała rzeźbione biurka z czasów Henryka III i przeróżne wyroby z saskiej porcelany. Biegała z salonu do salonu podziwiając i szacując różne cacka i sprzęciki, zwracając mowę do ciotki, która nic się na tem nie znając, nie rozumiała nazw i orzeczeń jakiemi się posługiwała baronowa, jakby jaki handlujący starożytnościami. Sama tylko Brigida pojmowała uniesienia boronowej dla mebli i cacek o których od tak dawna miała tak troskliwe staranie, i brała do siebie wszelkie wygłaszane przez nią pochwały.

Oktawiusz i Zuzanna nie weszli nawet do pałacu. Przechadzali się rozmawiając wesoło po pięknych, starannie utrzymanych alejach parku; nareszcie Zuzanna pobiegła prędko do kuchni, zkąd przyniosła ogromny kawał chleba, który oboje z margrabią zaczęli rzucać kawałkami pływającym w wodzie karpiom. Bawili się tem już od pół godziny, patrząc na usiłowania żarłoków aby wciągnąć do wody duży kawał skórki, pływający na jej powierzchni. Co do barona, ten będąc tak blizkim żelaznej huty, nie mógł wytrzymać aby nie pobiedz do niej, znaną mu już dobrze drogą.

Podczas gdy baronowa sporządzała inwentarz mebli i sprzętów pałacowych, a Filip zabawiał margrabinę, Klara pozostała nieco za nimi i zbliżywszy się do okna balkonowego wychodzącego na peron, otworzyła je i zeszła do parku. Słychać było z oddalenia wesoły dźwięk młotów, syczenie wielkich pieców fabrycznych, wyrzucających ku niebu kłęby gęstego dymu. Park był bardzo zacieniony, poważny i tajemniczy; sprzeczność jaką stanowiły odgłosy dochodzące z kuźnic z ciszą park zalegającą, podobała się Klarze. Weszła pod sklepienie drzew których liście poczerwieniały już nieco od wiatrów jesiennych, i idąc powoli zatonęła w głębokiej zadumie.

Park ten samotny i posępny wydawał jej się ramą doskonale dobraną do obrazu całej jej przyszłości. Szeleszczące pod jej stopami martwe liście, tak odpadły od drzewa jak nadzieje jej od serca. Odrzuci swoje rojenia, jak idąc odrzuca martwe liście. Wszystko w niej zmroziło się i zamarło, jakby w wielkiej opustoszałej puszczy. I szła dalej zaciemnioną aleją, wpatrując się z dziką radością w posępność przyrody. Wtem przez szeroki otwór na zakręcie drogi, spostrzegła daleko roztaczające się pola, opromienione światłem słonecznem—tworzyło to jakby nagle odsłonięty obraz, i nader silne na Klarze wywarło wrażenie. Od paru chwil tak zupełnie zjednoczyła się z otaczającą ją przyrodą, iż w umyśle jej powstała myśl że w mgnieniu oka radość zastąpić może smutek. Po za tym pustym i ponurym parkiem, ukazują się urodzajne, pełne życia łany—czyżby i z nią tak być miało? czyżby mogły uledz zmianie jej wrażenia i uczucia? Odwróciła się z gniewem od roztaczającego się przed jej wzrokiem wesołego obrazu, i wracając do samotności, smutku i cienia, odepchnęła uśmiechy i obietnice przyszłości.

Gdy zadziwieni i nieco zaniepokojeni jej zniknięciem, Filip i margrabina wyszli jej szukać, spotkali ją idącą powoli osamotnioną aleją; była spokojna i uśmiechnięta; tylko oczy, jeszcze wilgotne od łez wylanych w skrytości, świadczyły jak ciężką walkę staczała z sercem swojem. Baron musiał nareszcie oderwać się od swoich naukowych obserwacyj, Zuzanna i Oktawiusz opuścić łódkę którą pływali po stawie, a margrabina wsiadając do powozu, zaprosiła na obiad Filipa i Zuzannę.

Tydzień już tylko dzielił Klarę i Filipa od dnia upragnionego—z jednej strony przez dumę, z drugiej przez miłość. W miarę zbliżania się oznaczonego terminu, Klara stawała się coraz więcej rozdrażnioną i niespokojną. Patrzący na nią w ciągu ostatnich ośmiu dni, mogli sądzić że jest bardzo zadowolniona z tego związku, widząc jak niecierpliwie wygląda dnia ślubu, jakby lękając się aby nie zaszła jakaś przeszkoda w ostatniej jeszcze chwili.

Paki i przesyłki nieustannie nadchodziły koleją żelazną, expedytorowie stacyi i urzędnik telegrafu rady sobie dać nie mogli. W pałacu Beaulieu dzwonki cierpiały chorobę św: Wita, a służący wiejscy, nawykli do spokojnej służby, zupełnie tracili głowy.

Nareszcie gdy już miano rozsyłać zaproszenia, Klara dała poznać dwa postanowienia swoje, które wszystkich wprawiły w osłupienie. Oznajmiła iż żąda aby ślub odbył się jak najciszej, bez żadnej wystawy, w małym kościołku w Pont-Avesnes, o północy i aby nikt nie był na nim prócz rodziny. Margrabina wzniosła ręce ku niebu, baronowa rzuciła się na potel i z jakie dziesięć minut nie mogła przemówić. Oktawiusz wprost zapytał siostry czy czasem nie jest obłąkaną. Filip nie objawił swego zdania.

Klara nie tłómacząc się z powodów, obstawała przy swojem i odrzucała nieubłaganie prośby i przedstawienia rodziny. Brać ślub o północy! już to samo strasznie było dziwacznem, chociaż zdarzało się na przedmieściu Saint-Germain—brakowało tylko mszy żałobnej! Czyżby Klara uważała się za wdowę po księciu de Bligny, i ślub taki miał być oznaką żałoby? W ostateczności możnaby się jeszcze zgodzić na ślub o północy—ale nie prosić nikogo—to już nadto! zakrawałoby to na ukrywanie się, jak gdyby panna de Beaulieu wstydziła się swego wyboru... A potem mogło to ściągnąć nieszczęście...

Ostatni powód wypowiedziała baronowa, ale równie jak na inne Klara nic a nic nie zważała na niego.

Filip zniewolony do wypowiedzenia swego zdania, położył koniec sprzeczkom oznajmiając: że zgadza się i uznaje dobrem wszystko czego tylko żąda panna de Beaulieu, i nie widzi w tem nic niestosownego aby najzupełniej zastosować się do jej woli.

Jak tylko głównie interesowany zgadzał się na żądanie Klary, wszelka opozycya ustała. Baronowa nie rada że daremnie sprowadziła z Paryża prześliczną toaletę — mówiła śmiejąc się że będzie to ślub jaki zwykle widuje się tylko w dramatach przy bramie św. Marcina, gdy skazanemu na śmierć król, w drodze łaski, zezwala zaślubić w więzieniu jego ukochaną, przed wejściem na rusztowanie.

Podpisanie aktu ślubnego odbyło się w przeddzień ślubu. Bachelin będący zarazem notaryuszem pana Derblay i pani de Beaulieu, nie mogąc wystąpić w tym podwójnym charakterze, zawezwał do pomocy kolegę swego z Besançon, a sam został przedstawicielem znakomitej rodziny, której interesa ojciec i naddziadowie jego prowadzili od kilku wieków. Wytrawny praktyk nader zręcznie wywiązał się z odczytania kontraktu, i gdyby nawet Klara słuchała go uważnie, nie wiele zrozumiałaby z niego. Nie dowiedziała się więc nic o zupełnej swojej ruinie majątkowej, i gdy drżący i silniej od niej wzruszony Bachelin, podał jej pióro, nie nie wiedząc co podpisuje, podpisała akt mocą którego pan Derblay zapisywał jej połowę swojego majątku.

Filip odetchnął lżej gdy już kontrakt został podpisany i zaparafowany, przyznał jednak potem że wtedy dopiero zupełnie się uspokoił, gdy usłyszał jak na zapytanie uczynione jej przez mera: „Czy bierzesz dobrowolnie ze małżonka pana Filipa Derblay?—panna de Beaulieu odpowiedziała pewnym głosem: tak!

(D. c. n.)

Tygodnik Mód — Ubiory i Roboty — Dodatek do N. 44 1882 r.

Opis do N-ru 44.

N. 1—3. Ubrania domowe i spacerowe.

N. 1 i ryc. 1 w N-rze 45. Suknia z bawetowym stanikiem. Forma draperyi na arkuszu z krojami N. VIII, fig. 33.

Spódnica z miękkiej, czarnej surah, garnirowana jest wązkiem plisowaniem i dwoma wolantami, z których dolny 50 cent. szeroki jest drobno plisowany, a górny węższy, oszyty koronką 8 cent. szeroką, ułożony w szersze fałdy. Zręczną draperyę, przykrojoną podług fig. 33, zdobi haft kolorowy, 40 cent. szeroki, robiony w maszynie, któren także daje się na gładkim aksamitnym staniku.

N. 2. Ubranie dla małej dziewczynki.

Jasny kaszmirowy płaszczyk oszyty haftowaną falbanką i opasany paskiem z jasnej skóry zapiętym na klamrę metalową. Kapelusz biały pluszowy, ubrany wstążką i piórami białemi.

N. 3 i ryc. 2 i 33 w N-rze 45. Ubranie z długiem vêtement. Krój vêtement N. VII, fig. 32.

Do gładkiej aksamitnej spódnicy, oszytej u dołu wązkiemi, drobno plisowanemi falbankami i riuszą z faille, dodane długie vêtement z kaszmiru, takiego samego koloru, którego przody dopełnione w górze kamizelką aksamitną, rozchodzą się dość szeroko od dołu. Brzegi przodów krajanych razem z boczkami, zdobi szlak 9 cent. szeroki z aplikacyi aksamitnej, której kontury obrobione są ściegiem sznureczkowym. U dołu szlak dany od środka w dwie strony. Model i miary tylnej draperyi, krajanej razem z plecami, dajemy na fig. 32. Gdy dodaną przy plecach poniżej baskiny, szerokość materyału, założymy w fałdy do spodu, trzeba z jednej strony prosty brzeg draperyi zeszyć z boczkiem, a skośnie ścięty brzeg z drugiej strony, gwiazdką do gwiazdki w pukiel złożyć i luźno puścić. Atłasowe z boków naszyte plisowane patki kieszeniowe, mają 11 cent. szerokości a 21 długości. Inny stosowny rękaw, dajemy na ryc. 33 w N-rze 45 Tygodnika Mód.

N. 4—5. Ubranie z kamizelką dla chłopczyka lat 2—4. Krój podług formy do ryc. 6 i 7.

Ubranie to z łatwością przykroić można podług formy do ryc. 6 i 7, tylko przy środkowym szwie pleców, na 14 cent. długości u dołu, dodaje się materyału na kontrafałdę do spodu założoną, a przy szwach bocznych na dwie pojedyńcze fałdy; pod otwarte przody dodane plisowane części kamizelkowe, zapinane na dwa rzędy guzików. W kontrafałdy układana spódniczka, ma wraz z paskiem w który jest wszyta, 18 cent. długości. Kołnierz marynarski, patki przy kieszeniach i mankiety przy rękawach są aksamitne; guziki stalowe szmelcowane.

N. 6—7. Ubranie zdobne patkami, dla chłopczyka lat 2—4. Kroj N. V, fig. 26—30.

Ryc. 6 przedstawia z przodu sukienkę z materyału wełnianego w drobną kratę, ubraną aksamitem, a na ryc. 7 widzimy takąż sukienkę odrobioną z atłasu i aksamitu. Do stanu u dołu dodane są dwoiste patki, z których zwierzchnie są atłasowe, a przy sukience wełnianej aksamitne. Pod patkami przyszywa się spódniczkę plisowaną, 20 cent. długą a 240 cent. szeroką, wszytą w pasek 2 cent. szeroki.



N. 1. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 1 w N-rze 45. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 33.
N. 2. Ubranie małej dziewczynki.
N. 3. Suknia z długim vêtement. Patrz ryc. 2 w N-rze 45. Krój na arkuszu N. VII, fig. 32.

N. 8—10. Szlak do rolet, zesuwanych firanek, serwet lub t. p. Wzór do wstawki koronkowej na arkuszu z krojami, fig. 37.

Piękny szlak przedstawiony w naturalnej wielkości na ryc. 8, robiony był na płótnie grubem nie zmaglowanem i nie gęstem, ażeby nitki dobrze się odznaczały i łatwo liczone być mogły. Na modelu wstawka robiona była z nici złotych, a szlaczki po brzegach wyszyte pelą purpurową, ściegiem pojedyńczym na dwie strony. Długa frendzla z szerokim nagłówkiem, przedstawiona na ryc. 8, siepana była w płótnie a z wierzchu prawie zupełnic pokryta nitkami purpurowej peli idącemi do wyszycia na nagłówku. Na ryc. 9 i 10 dajemy trochę zmienione próbki nagłówka i frendzli, oraz wskazujemy sposób zmudnej lecz ładnej roboty. Na ryc. 9 do wyszycia użyty był jedwab kordonkowy, a na ryc. 10 pela lub filozela. Frendzle siepie się w płótnie po wykończeniu roboty pelą lub jedwabiem.

N. 11. Trzewiczek wycięty do strojnego ubrania.

Trzewiki do strojnego lub wieczorowego ubrania robione są z tego co suknia materyału, albo z cienkiej skórki lakierowanej, na wysokich obcasach, z przodu dobrze wycięte i ozdobione kokardą z wązkiej wstążki.

N. 14 i 15. Kufereczek na listy, robótki lub drobiazgi toaletowe, ozdobiony pasami haftu.

Model mający 17 cent. wysokości, 33 długości a 22 szerokości, pokryty był pluszem bordo, a w środku wysłany lekko watowanym atłasem takiegoż koloru. Antaby, nóżki i okucie zamka z cuivre poli. Ozdobę stanowiły szlaki 15 cent. szerokie, robione na grubem płótnie, srebrem i jedwabiami kolorowemi, ściegiem płaskim i greckim krzyżowym, podwójnym. Brzegi szlaków oszyte są wąziutką srebrną koroneczką. Na kanwie kongresowej łatwiejsza będzie robota i liczenie nitek. W roku 1881 daliśmy w Tygodniku Mód dokładny opis ściegu greckiego, któren jednak można zwykłym ściegiem krzyżowym zastąpić. Na fig. 38, dajemy deseń szlaku, na którym figury haftowane srebrem, ściegiem płaskim, mają tylko kontury oznaczone, a środek pusty. Miejsca ciemno oznaczone na ryc. 15, robione były kolorem bordo, jaśniejsze kolorem niebieskim, a małe najjaśniejsze kolorem paljowym. Kontury figur haftowanych srebrem, ściegiem płaskim, robić kolorem bordo, ściegiem łańcuszkowym lub sznureczkowym.

N. 16. Uczesanie włosów w dwa warkocze.

Do takiego uczesania trzeba włosów długich i gęstych, które zaczesuje się wszystkie do tyłu, splata w dwa warkocze i otacza w koło głowy.

N. 17. Uczesanie z warkoczem spuszczonym.

Krótkie lecz dość gęste włosy związują się nizko z tyłu wstążką, splata i wiąże drugą kokardą z końcami.

N. 18—19. Kokardy krawatowe.

Obiedwie kokardy zrobić można z tiulu, crêpe de chine, albo z indyjskiego muślinu, ozdobiwszy końce koronką albo haftem. Ryc. 18 przedstawia kokardę z koronką irlandzką, do której deseń dajemy na arkuszu z krojami N. 5. Kokarda na ryc. 19 ozdobiona jest kosztowną, prawdziwą koronką.

N. 20. Fotel z wysoką poręczą, ozdobiony aplikacyą do której deseń na arkuszu z krojami N. 1.

Ryc. 20 przedstawia piękny i dogodny fotel, przy którym nogi i poręcze boczne są z ciemno politurowanego drzewa, robotą snycerską, a siedzenie i wysoka poręcz tylna, pokryte ponsowym atłasem, ozdobionym aplikacyą z ciemno ponsowego aksamitu. Brzegi deseniu oszyte sznurem ponsowym ze złotem, przy którym dany wewnątrz cienki sznurek biały ze złotem. Połowę deseniu na siedzeniu dajemy na arkuszu z krojami N. 1, podług którego łatwo będzie można dopasować deseń na poręcz 76 cent. wysoką a 63 szeroką.

N. 24—26. Kapelusze dla dzieci.

Ryc. 24—26 przedstawia kapelusze pluszowe z dużem okrągłem rondem, podszytem atłasem przemarszczanym, tylko na ryc. 24 rondo jest z jednego boku w górę podwinięte, a na ryc. 25 i 26 gładko odstaje w gorę. Do ubrania służy wstążka atłasowa 4 cent. szeroka, upinana sposobem na ryc. wskazanym.

N. 27—28. Ubrania dla małych dziewczynek.

N. 27. Sukienka pod szyję, formą princesse.

Naszywana jest aksamitką 5 i 1 cent. szeroką, przyszycie spódniczki do długiego stanu, przykrywa szarfa luźno opasana.

N. 28. Sukiena bluzkowa, wycięta.

Bluzkowy, przymarszczony stanik, zrobiony na gładkiej podszewce, złączony jest wązkim paskiem ze spódniczką przymarszczoną. Garnirunek stanowią falbanki haftowane w maszynie na takim jak sukienka materyale. Szarfa atłasowa.

N. 29. Wałek pod głowę, Aplikacya haftu. Kwiat pojedynczy na ryc. 12, inny kwiat stosowny na ryc. 13.

Wałek pluszem pokryty zdobi aplikacya z kwiatów oddzielnie haftowanych filozelą kolorową do cieniu. Deseń kwiatów rysuje się na bibułce angielskiej, którą nakleja się na płótnie w krośna wszytym, następnie pokrywa

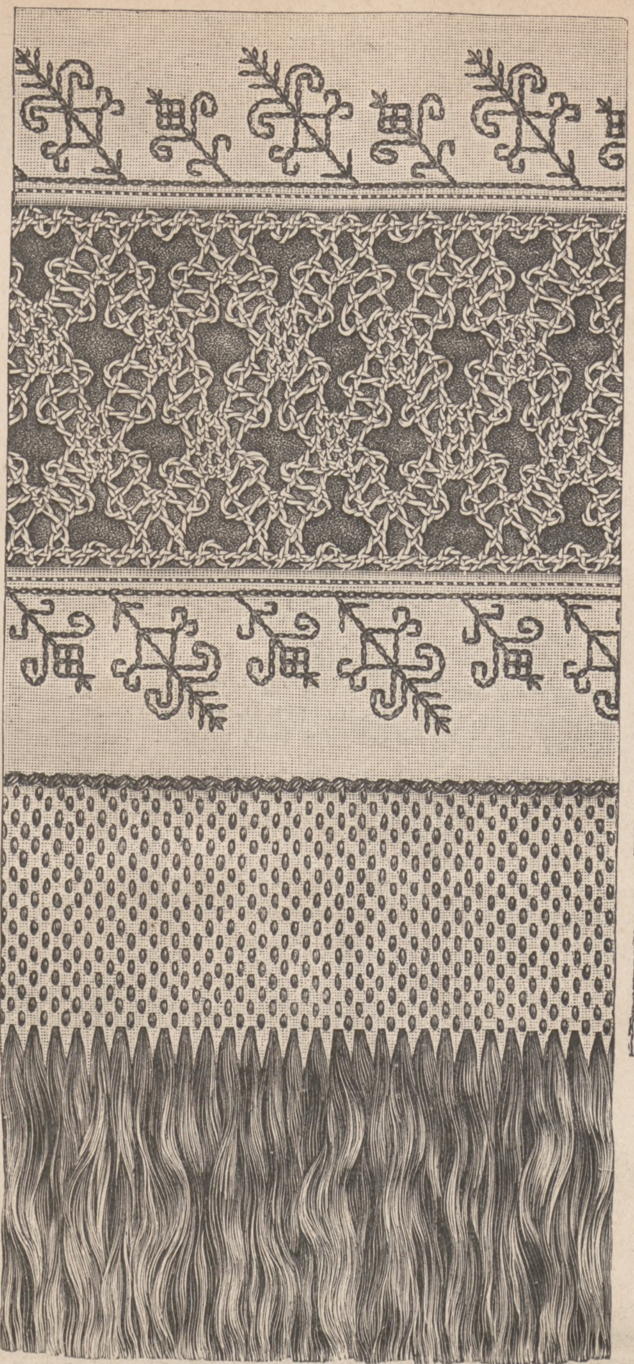


N. 4—5. Ubranie z kamizelką dla chłopczyka lat 2—4. Krój jak do ryc. 6—7.

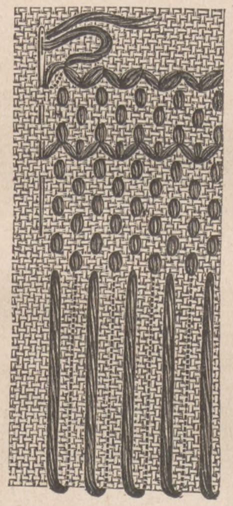
się kwiaty ściegiem płaskim robionym filozelą kolorową do cieniu, potem wycina się każden oddzielnie i przyszywa na pluszu jeden przy drugim, odwracając kwiaty raz w górę, drugi raz do brzegu. Aplikacyą przyczepia się do pluszu nitką filozeli przeszywaną przez wierzch jedwabiem, a drugi raz tuż przy filozeli oszywa się wszystkie kontury sznureczkiem złotym.

N. 30. Krawatka z końcami oszytemi szeroką koronką.

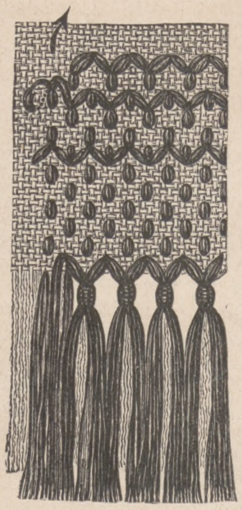
Krawatkę robi się z prostego kawałka indyjskiego muślinu, mającego 54 cent. długości a 47 szerokości, którego brzegi poprzeczne oszyte są koronką 11 cent. szeroką. Muślin składa się wzdłuż w ścisłe 1 cent. szerokie fałdy, do $4\frac{1}{2}$ cent. całej szerokości 5 cent. od przyszycia koronki a prócz tego 3—4 razy przez długość krawatki, przeszywa się z lewej strony; końce luźno puszczone przerzuca się jeden przez drugi i przepina szpileczkami z łepkiem perełkowym.



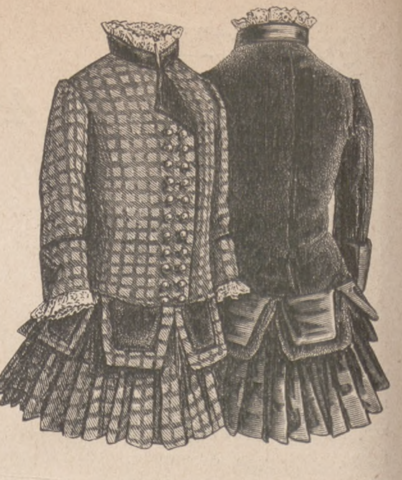
N. 8. Zakończenie do serwet, rolet i t. p. Patrz ryc. 9—10.



N. 9. Frendzla wyszywana. Patrz ryc. 8 i 10.



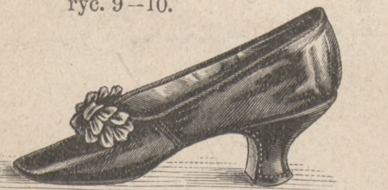
N. 10. Frendzla wyszywana wiązana w kwaściki. Patrz ryc. 8—9.



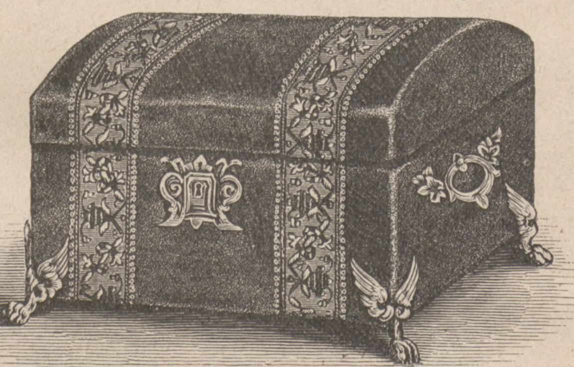
N. 6—7. Ubranie zdobne patkami dla chłopczyka lat 2—4. Krój na arkuszu N. V, fig. 26—30.



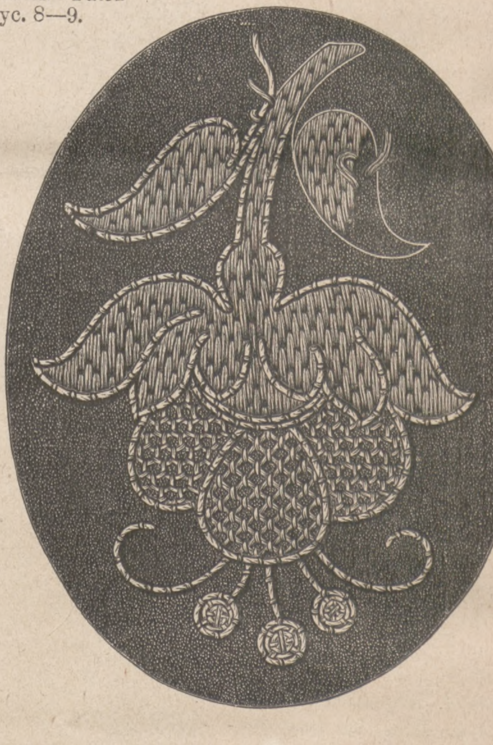
N. 12. Kwiat haftowany ściegiem płaskim, do r. 29.



N. 11. Trzewik do sukni wizytowej.



N. 14. Szkatułka zdobna haftowanemi pasami. Patrz ryc. 15.



N. 13. Kwiat haftowany ściegiem gobelinowym i kratką, do ryc. 29.

N. 31. Paletocik z kamizelką. Zobaczyć plecy na r. 9 w N-rze 45, a kapelusz na ryc. 4. Krój na arkuszu z formami N. III, fig. 15 do 23a.

Model odrobiony był z dubeltowego, ciemno zielonego kortu, a przystrojony pluszem takiegoż koloru. Przody i boczki przednie dopełniają części kamizelkowe, zeszyte ze sobą w tyle od *o* do krzyżyka. Znacznie rozszerzoną ku dołowi baskinę przy plecach i drugich boczkach, trzeba w odległości 38 c. od dołu, cztery razy przemarszczyć i na dodanej do pleców gładkiej części, w odstające fałdy ułożyć.

N. 32. Płaszczyk oszyty piórami.

Płaszczyk ciągle jeszcze modną formą dolmanową odrobiony był z materyału w guście tureckim, na lekko podwatowanej i pikowanej, ciemno ponsowej, atłasowej podszewce. Ozdobę płaszczyka stanowiło 6 i 11 cent. szerokie obłożenie z piór ciemno bronzowych i agrafy i sznury jedwabne w kolorach tureckich.

Opis do N-ru 45.

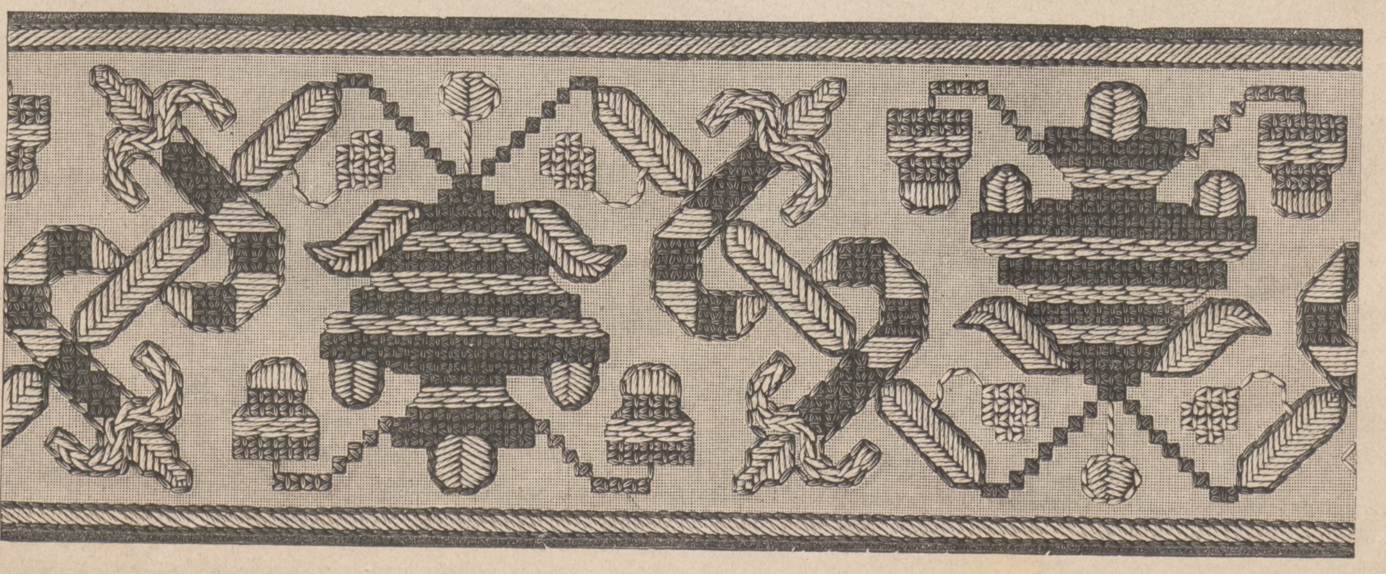
N. 1—2. Opis przy ryc. 1 i 3 w N-rze 44.

N. 3. Kapelusz okrągły zdobny piórami.

W modelu tym denko i rondko jest z bronzowego filcu, zaś boki główki i na 4 c. wywinięty brzeg rondka pokryte są aksamitem tegoż koloru. Z lewego boku dane ubranie z piór, z których cztery krótsze zwrócone są do przodu a dwa dłuższe spadają z tyłu aż po za rondko.

N. 4. Kapelusz filcowy zdobny aksamitem, atłasem i piórami.

Fasonik ten z granatowego filcu jest



N. 15. Szlak. Ścieg grecki. Do ryc. 14.



N. 16. Uczesanie w dwa warkocze.



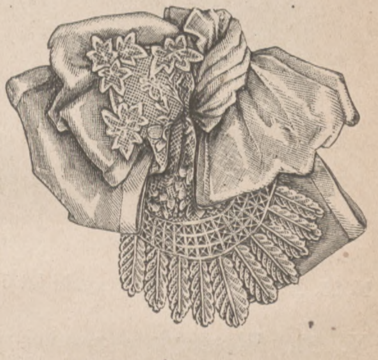
N. 18. Żabot z koronką irlandzką.



N. 20. Fotel zdobny aplikacyą. Deseń na arkuszu N. 1.



N. 17. Uczesanie z warkoczem spuszczonym.

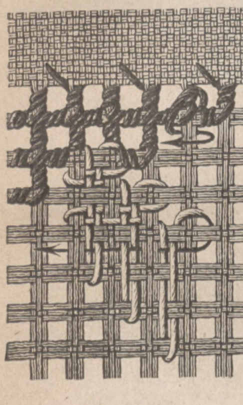


N. 19. Żabot z koronką.

tak zwaną budką, wysuniętą nad czołem, z rondkiem z przodu 11, z tyłu 6 cent. szerokiem, obłożonem pluszem na 4 cent. szerokości. Zwierzchnie przybranie stanowi fałdowany skos aksamitny i atłasowy, po 18 cent. szeroki; z przodu nad czołem dane upięcie nakształt kokardy przemarszczonej środkiem, z boków sfałdowane skosy przepięte są szpilkami ozdobnemi, podług ryc. 4. Z prawej strony dane trzy po 10 cent. długie granatowe strusie pióra.

N. 5. Kapotka z fałdowaną główką.

Mały fasonik kapotki ma szerokie płaskie rondko pokryte gładko aksamitem oliwkowym; na pokrycie główki potrzeba kawałka aksamitu 50 cent. szerokiego, 32 cent. długiego, podszytego u dołu atłasem, założonego u góry na środku w dwie kontrafałdy, u dołu sfałdowanego w odstępie 5 cent. od brzega. Na rondku do twarzy dana aksamitna riusza 6 cent. szeroka, układana w podwójne kontrafałdy, z wierzchu przysłonięta plumażem z piórek oliwkowego koloru, z błyszczącemi grelotkami, zwężającym się stopniowo do dołu. Z wierzchu główki dana suta kokarda z wstążki repsowej 9 cent. szerokiej; końce do wiązania



N. 21. Wyszycie ściegiem punto tirato, do ryc. 27 w N-rze 45.

po 95 cent. długie, przypięte są dużemi świecącemi szpilkami.

N. 6. Kapotka z gładką główką.

Na ryc. 32 w N. 44 widzimy taką kapotkę włożoną na głowę; rondko z przodu 10, z tyłu 5 cent. szerokie z jednej strony jest spuszczone; na pokrycie służy ciemno zielony aksamit. Wokoło główki skrzyżowane końce aksamitne 9 cent. szerokie służące do wiązania kapotki, z boku trzy krótkie strusie piórka i piórko fantazyjne mieniące się zielono i czarno.

N. 7—8. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój na arkuszu N. II, f. 11—14a.

Płaszczyk puszczany z przodu, z wciętemi plecami i szerokiemi rękawami, uszyty z jasnego dyjagonalu na odpowiedniej jedwabnej podszewce, zakończony jest rzędami stębnówki i zapięty na ciemne rogowe guziki. Fig 12 daje formę gładkiej podszewki, wierzch zaś dopasowywa się podług miar podanych na fig. 12a; podług ryc. 7 zakładają się fałdki, na wcięciu stanu ściśle przestębnowane; w dolnej połowie płaszczyka fałdki te składają się razem z równie szeroko krajaną podszewką. Fig 13A i 13B (rozdzielone dla braku miejsca), dają formę rękawów, którą przed krajaniem z materyału trzeba skleić od gwiazdki do dwukropka. Dolny brzeg rękawów pasując literą W do W wywija się na wierzch; spodnią część ze zwierzchnią łączy się szwem od U do V a cały rękaw wszyty jest w pachę od V przez T do U. Nowy fa-



N. 22. Wyszycie ściegiem perskim do ryc. 23.

son rękawów tworzy się przez przemarszczenie, przeszyte o 20 cent. od brzegu a 13 cent. od szwa środkowego, zwężające rękawy do 40 cent. Wykład brzeżny jest 8 cent. szeroki.

N. 10—11. Paletocik oszyty pletnią.

Odrobiony jest z ciemno zielonego,



N. 23. Haft perski do ryc. 36. w N-rze 45. Dalszy ciąg deseniu patrz fig. 36.

grubego zimowego materyału, przerabianego w prążki; formę paletocika dopasować można podług podanych na poprzednich arkuszach, lub przedłużyć ze zwykłego stanika. Część naszycia pletnią na rękawach wskazuje w naturalnej wielkości ryc. 11; kołnierzyk stojący cały pokryty naszyciem.



N. 25. Kapelusz dla dziewczynki lat 5—7. Patrz r. 26.

N. 12. Płaszczyk z podpinanym tylnym brytem. Krój na arkuszu N. VI, fig. 31.

Na maleńkim formacie kroju fig. 31, wskazujemy zmiany zachodzące w kroju tego płaszczyka a przedstawionego na ryc. 7—8; główna różnica zachodzi w długości i w rozmiarze pleców, suto podpiętych. Spód i wierzch rękawów kraje się w jednym ciągu



N. 31. Paletocik z kamizelką. Patrz ryc. 9 w N-rze 45. Krój na arkuszu N. III, fig. 15—23a.

i składa pasując gwiazdkę do gwiazdki; rękaw od krzyżyka do ramienia wszywa się do przodów zupełnie gładko, dalej zszywa z plecami gładko do wcięcia stanu a na



N. 24. Kapelusz dla dziewczynki lat 2—4.



N. 27. Sukienka princesse dla małej dziewczynki. N. 28. Sukienka bluzkowa.



N. 29. Wałek pod głowę, zdobny aplikacyą haftu. Patrz ryc. 12 · 13.



N. 30. Krawatka z szeroką koronką.

wcięciu zakłada w fałdy. Boczny brzeg rękawa wpuszczony w szew łączący plecy z przodami złożony jest w fałdy do 7 cent. Podpięce tylnych brytów wskazuje ryc. 12. Model odrobiony był z ciemno oliwkowego materyału wełnianego w drobną kratkę, podszewka ponsowa atłasowa, kołnierz i wykłady na rękawach dane z moiré antique. Pod pięcie tylne utrzymują wstążki podszyte z lewej strony, w odstępie 42 cent. poniżej wcięcia stanu dane końce wiążące płaszczyk tak jak suknie.

N. 13—25. Ubrania strojne wizytowe, wieczorowe i ślubne.

N. 13. Suknia z vêtement.

Odpowiednia na zebranie wieczorowe ma spódnicę za-



N. 26. Kapelusz dla dziewczynki lat 5—7. Patrz r. 25.

kończoną kilkoma rzędami wązkich plisowanych falbaneczek, po nad któremi naszyta falbana z haftu koronkowego koloru ficelle, sięgająca aż do kolan; przyszycie falbany przykrywa z przodu draperya lekko sfałdowana. Vêtement przybrane odpowiednim do falbany szlakiem 12 cent. szerokim, stanowiącym rauwers



N. 32. Okrycie obłożone piórami.

na rękawach i rodzaj marynarskiego kołnierza. Z tyłu poniżej wcięcia stanu wielka szarfa morowa.

(*D. c. n.*)